

Vincent Rachel – Moja dusza do stracenia

My Soul to Lose

Rachel Vincent

Translate_Team

Translate_Team:

Tłumaczenie by chomik: adijka

Korekta by chomik: La_Chupacabra,

Tłumaczenie by Translate_Team

-Dzięki za podwózkę, Traci! - Emma trzasnęła tylnymi drzwiami, które za chwilę otworzyła ponownie, by uwolnić koniec jej cieniutkiej czerwonej spódnicy, kiedy jej siostra wychyliła się z otwartego okna od strony kierowcy.

-Bądź gotowa na ósmą, albo cię tutaj zostawię.

Em zasalutowała z ironią i odwróciła się do wejścia centrum handlowego, bez czekania aż samochód odjedzie spod krawężnika. Nie zamierzała być nawet w pobliżu parkingu o ósmej. Wiedziała, że powrót do domu nie będzie żadnym problemem – wystarczyło zakręcić biodrami i się uśmiechnąć, a faceci z całego Teksasu rzucają kluczyki samochodów do jej stóp, gdyby tylko miała taki kaprys.

Czasem podwózka była zdecydowanie przyjemniejsza, gdyż wtedy mogła flirtować z kierowcą. Widzieć ile jest w stanie znieść, zanim się zdekongruje i jak będzie się zmuszał do skupienia na drodze. Nigdy właściwie nie doprowadziła do żadnej kraksy, ale Em zawsze próbowała posunąć się dalej, ilekroć znalazła kogoś chętnego, by nagiąć ograniczenia...jakikolwiek ograniczenia.

Korzystanie z podwozków, daje niesamowite poczucie władzy i życiowej wolności, zwykle dużo bardziej ekscytujących dla Emmy niż przeżywanie własnego życia na serio.

- OK. Kaylee, oto plan.- Em podeszła bliżej do szklanych drzwi, które otworzyły się automatycznie. Sztuczny wewnętrzny chłód był zmiłowaniem dla wilgotnej skóry i przegrzanych policzków. Samochód Traci nie był klimatyzowany, a wrzesień w Dallas był wystarczająco gorący, by zdążyła się spocić jak mysz.

- Tak długo, jak doprowadzi to do publicznego upokorzenia Toby'ego, możesz na mnie liczyć.

- Zgoda. – Zatrzymała się przed lustrem wbudowanym przy głównym przejściu i uśmiechnęła się do własnego odbicia, zobaczyłam w nim uśmiechniętą dziewczynę z błyszczącymi oczami – Zasłużył sobie na to. Naprawdę uważam, że powinnaś była pozwolić mi nabazgrać coś na jego samochodzie.

Propozycja była naprawdę kusząca, ale jeszcze tylko rok dzielił mnie od uzyskania własnego prawka i nie miałam stuprocentowej pewności, że jeśli pomazałybyśmy samochód mojego byłego szczerzego chłopaka, nawet zlecając to komuś innemu, to czy karma początkującego kierowcy wróciłaby do mnie w postaci niezliczonej ilości rys na moich zderzakach.

- To co teraz zrobisz? Popchniesz go w ramiona innej? Będiesz go śledzić w drodze na treningi? Zabierzesz go na dyskotekę, rozepniesz mu spodnie w czasie tańca, a następnie zaczniesz krzyczeć "pomocy!""? – nie bałabym się powracającej karmy tancerza, ale Toby powinien...

Emma obróciła się od lustra, a jej brwi uniosły się w niemym zapytaniu.

- Muszę go zignorować, następnie zatańczyć na parkiecie z jego najlepszym przyjacielem. To drugie ma nawet spory potencjał. Może powinniśmy zrealizować oba pomysły.

Uśmiechnęła się znów i wyciągnęła mnie z kąta do ogromnego głównego korytarza centrum handlowego, gdzie pośrodku pomieszczenia było otwarta przestrzeń ukazująca niższy poziom.

- Ale po pierwsze musimy być pewne, że będziesz wyglądać tak dobrze, że on spędzi każdą minutę tego głupiego zjazdu, marząc jedynie byś była tam z nim.

Zazwyczaj nie jestem wybrednym klientem. Jako mała i szczupła wyglądam równie dobrze w zwykłych dżinsach i podkoszulku, co w czymś znacznie wymyślniejszym, a ubierając się chyba podświadomie podkreślałam swoje zalety, bo znalezienie nowego chłopaka zajęło mi zaledwie dwa dni.

Nie czyni to jednak Toby'ego ani odrobinę lepszego od karalucha, który godzinę po tym jak zdecydował się ze mną zerwać, zaprosił Emmę na bal inauguracyjny¹.

Przyjęła tą propozycję mając już w połowie ułożony plan zemsty.

Przyszłam więc przed imprezą do centrum handlowego, uzbrojona w kartę kredytową ciotki oraz wspaniały gust Emmy, by zrzucić z siebie brzemię mojego byłego chłopaka, który jak już zaznaczyłam, był wstrętnym robalem.

- Powinniśmy zacząć od... - Emma zatrzymała się chwytając barierkę i spoglądając przez nią na kącik z jedzeniem znajdujący się na niższym poziomie. – Hm. Masz ochotę na kawałek pysznego precla?

Z tonu jej głosu wyczułam, iż wcale nie ma na myśli jedzenia.

Poziom pod nami, dwaj faceci w zielonych czapczkach Eastlake High² dosuwali trzeci stolik do dwóch już połączonych, przy których siedziały dziewczyny z naszej szkoły mając przed sobą stos niezdrowego jedzenia.

Facet po lewej należy do Juniorów, a nazywa się Nash Hudson i siedzi obok swojej zdobyczy tygodnia - Amber Jak-Jej-Tam. Powrót do domu z Nashem byłby wystarczającą zemstą na Toby'm. To się jednak nie zdarzy. Całkowicie nie byłam w typie Nash'a Hudson'a.

Obok Amber usiadła moja kuzynka Sophie. Rozpoznałabym tył tej głowy wszędzie. W końcu właśnie z tej strony widziałam ją najczęściej.

- Jak Sophie się tu dostała? – zapytała Emma.

- Jeden z tańczących goryli wybrał ją dziś rano. – Byłam przez nią permanentnie ignorowana – ku mej wielkiej radości – kiedy to miesiąc wcześniej została pierwszym w historii, pierwszorocznym członkiem uniwersyteckiej drużyny tanecznej – Ciocia Val'a podrzuciła ją godzinę temu.

- Myślę, że to Doug Fuller rozsiadł się naprzeciwko niej. Chodźmy! – Oczy Emmy rozblęły pod ogromnym dachowym świetlikiem w suficie – Chcę poprowadzić jego nowy samochód.

- Em... – mogłam jedynie pobiec za nią, odpychając innych klientów ciągnących torby z zakupami i małe dzieci. Złapałam Emmę na ruchomych schodach i jechałam schodek za nią.

- Hej spójrz – Kiwnęłam głową w stronę grupy z jedzeniem, gdzie jeden z tancerzy właśnie zmienił strony stołu, by szepnąć coś do ucha Doug'owi – Meredith się wkurzy, jak cię zobaczy.

Emma wzruszyła ramionami i zbiegła szybciej po ruchomych schodach.

- Przejdzie jej. Albo i nie.

W chwili, gdy moja stopa dotknęła posadzki, przeszedł mnie lodowaty dreszcz i poczułam, że nie jestem w stanie zbliżyć się do kącika z jedzeniem nawet o milimetr.

Nie, chyba, że chciałam zrobić scenę.

¹ Bal inauguracyjny (ang. Homecoming) - coroczna tradycja w USA. Mieszkańcy miast, byli uczniowie szkół spotykają się (zwykle pod koniec września lub w październiku) by powitać w rodzinnym mieście czy szkole tych, którzy się wyprowadzili lub absolwentów. Spotkanie zorganizowane jest wokół centralnego wydarzenia jakim może być parada, bankiet, czy też mecz futbolu amerykańskiego, koszykówki czy hokeja. – przyp. tłum

² Eastlake High – jedna ze szkół średnich w Stanach – przy. tłum

Jeszcze chwila, a straciłabym nad sobą kontrolę przez wrzask rosnący głęboko wewnątrz mnie i gdybym pozwoliła mu wyjść na zewnątrz nie zapanowałabym nad nim do chwili, aż bym się stąd nie wydostała.

Zdecydowałam, że lepiej odejść zanim to nastąpi.

-Em... - wychrypiałam. Złapałam ręką własne gardło czując jak się duszę od środka.

Emma nie usłyszała mnie i dumnie stąpała w kierunku stołów.

- Em... - powtórzyłam, siłą wydobywając tą sylabę z mojego gardła, czując wzrastający w nim ucisk, i tym razem mnie usłyszała. Odwróciła się spoglądając wprost na moją twarz a jej czoło zmarszczyło się w znajomym zainteresowaniu. Tęsknie spojrzała w stronę kąta z jedzeniem, następnie ponaglająco w moją stronę.

- Atak paniki? – wyszeptwała.

Mogłam jedynie kiwnąć głową, walcząc z pragnieniem zamknięcia oczu. Czasami było to nawet gorsze, gdyż widziałam wtedy jedynie ciemność. Czułam jakby cały świat zbliżał się do mnie, wraz z tymi wszystkimi rzeczami skradającymi się, których nie mogłam zobaczyć. Może oglądam jednak zbyt dużo horrorów...

- W porządku, chodź. – Em złapała moją rękę troszkę mnie podtrzymując, trochę odciągając od kącika z jedzeniem, od schodów, od wszystkiego co wywołało ten... epizod.

- Jeden z tych gorszych? – Zapytała, kiedy przeszliśmy dobre 200 stóp.³

- Już mi lepiej – usiadłam na krawędzi ogromnej fontanny w samym środku centrum. Fontanna wybijała wodę na wysokość drugiego piętra, a małe kropelki spadającej wody moczyły nasze ubranie, ale nigdzie nie było innego miejsca by usiąść, ławki były pozajmowane.

- Może powinnaś porozmawiać z kimś o tych atakach paniki. – Emma usiadła obok mnie z impetem, jedną nogę podwijając pod siebie, przez co jej palce dotykały wody i marszczyły ją – To niesamowite jak może wydawać się, że jest się zamkniętym w takim miejscu. Moja ciocia dostała ataku paniki, ale nawet wyjście nie pomogło, panika podążała za nią. – Emma wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Ona jednak bardzo się pociała. Ty nie wyglądasz na spoconą.

- Cóż, jest i dobra strona tego – zmusiłam się do uśmiechu mimo ciemności, prawie klaustrofobicznego strachu czającego się na krawędziach mojego umysłu, gotowego przejąć kontrolę przy pierwszej okazji. Zdarzało się to częściej, ale nigdy w miejscach tak zaludnionych jak centrum handlowe.

Zadrzałam na myśl o tym, jak blisko byłam upokorzenia siebie i Emmy przed setką ludzi. Zawierających pół tuzina kolegów z klasy. Jeśli wpadłabym w panikę przed nimi, wiadomość o tym zdarzeniu rozniosła by się w tempie ekspresowym przed pierwszym dzwonkiem w poniedziałkowy poranek.

- Nadal czujesz się na siłach na przyrządzenie naszej małej zemsty? – Emma uśmiechnęła się.

- Tak, Potrzebuję jedynie minutki by dość do siebie.

Em kiwnęła głową i wygrzebała grosik z portfela. Nie mogła oprzeć się wrzuceniu grosza do fontanny, mimo mojej pewności, że żadne życzenie, za które trzeba zapłacić, się nie ziści.

³ stopa – miara odległości; 1 stopa to ok. 30,48cm; tu 200 stóp, czyli ok. 61m. – przyp. tłum

Kiedy ona wpatrywała się w monetę w swojej dłoni, mrużąc oczy w koncentracji, postanowiłam zahartować się i obróciłam się w stronę kącika z jedzeniem. Zacisnęłam szczęki na wszelki wypadek.

Panika wciąż była we mnie, odgrzając się jak resztki nocnego koszmaru. Nie mogłabym jednak wskazać jej przyczyny. Zwykle wystarczyło zachować stoicki spokój w całym tym przerażeniu obejmującym moje wnętrze, ale tym razem, przy całym tym tłumie okazało się to rzeczą nie możliwą. Grupa ludzi w barwach wrogiej drużyny zajęła stoliki obok stolików Sophie i jej przyjaciół i wyglądało na to, że obie strony prowadzą zaciętą walkę na frytki.

Kilka rodzin stało na linii toczącej się bitwy, jakiś rodzic pchał spacerówkę, inny mały wózek inwalidzki. Mamuśki dzielnie omijały plamę rozlanego jogurtu, a pary, w każdym wieku, bezmyślnie mieszały się w tłumie, niczym na spędzie bydła, przed licznymi restauracjami.

To mógł być ktokolwiek. Jedyne co wiedziałam to, że nie mogę tam wrócić, póki przyczyna mojej paniki nie zniknie. Najrozsądniejszą rzeczą, którą mogłam zrobić, było oddalić się stąd tak szybko jak to możliwe.

Grosik Em wpadł do wody za moimi plecami, a ja się podniosłam.

- W porządku, na początek może „Sears”?

- „Sears”? – Emma zmarszczyła czoło tak, że aż wykrzywiła usta – To sklep dla starszych pań.

Faktycznie był w stylu mojej ciotki, ale “Sears” był tak daleko od źródła mojej paniki, jak tylko mogłyśmy odejść, a nadal być w centrum handlowym.

- Tylko zerkniemy, OK? – Zerknęłam wymownie w stronę kącika z jedzeniem, potem ponownie na Emmę, a jej zmarszczone brwi rozprostowały się ukazując pełne zrozumienie. Nie musiałam nic mówić. Była zbyt dobrą przyjaciółką, by zmuszać mnie do mówienia głośno o moich lękach, a już szczególnie o tym iż jeden z nich mógł mieć źródło w tamtym kąciku.

- Oni mogą mieć z tym coś wspólnego... - zakończyłam słabo. Z odrobiną szczęścia, zanim byśmy wróciły, ten kto był przyczyną lęku mógł sobie pójść. Może też powinnam wrzucić grosik do fontanny.

- Tak. Mogą mieć z tym coś wspólnego - Emma uśmiechnęła się i szybko przeszłyśmy do środkowego korytarza. Napięcie moich ramion malało z każdym krokiem i dopiero kiedy rozluźniłam się, zrozumiałam, że do tej pory zgrzytałam zębami. W momencie, kiedy stanęłyśmy w mgiełce zapachów w pobliżu stoiska z kosmetykami w „Sears’ie” całkowicie zapomniałam o lęku.

Było po wszystkim. Z trudem uciekłam od paniki i zupełnego upokorzenia.

Ulga przypawiła mnie o zawrót głowy, gdy wraz z Emmą oglądałyśmy sukienki, a potem spędziłyśmy kolejną godzinę przymierzając głupawe, pastelowe spodnie i kwieciste kapelusze, by zabić czas, kiedy musiałam trzymać „mentalne kciuki”, by po naszym powrocie, droga była wolna. Metaforycznie mówiąc.

- Jak się czujesz? – Emma odchyliła krawędź wściekle zielonego kapelusza i wygładziła długie blond włosy wystające spod niego. Uśmiechnęła się i zrobiła głupią minę do lustra, lecz jej oczy pozostały poważne. Gdybym nie była gotowa by wyjść, nadal ukrywałyby się ze mną w dziale dla starszych pań, tak długo, jak byłoby to potrzebne.

Em naprawdę nie znała przyczyny moich ataków, nikt nie znał. Ale nigdy nie naciskała mnie, by to wyjaśnić, nigdy mnie nie zostawiła, gdy rzeczy przybierały zły obrót i ani razu nie spojrzała na mnie jak na świra.

- Myślę, że już OK. – powiedziałam, gdy zdałam sobie sprawę, iż nie pozostał najmniejszy ślad po przerażeniu. – Chodźmy.

Butik, który Emma chciała odwiedzić jako pierwszy był na piętrze, więc zostawiliśmy kolorowe kapelusze i spodnie w garderobie i roześmiane szłyśmy przez „Sears’a” w stronę wewnętrznych ruchomych schodów.

- Będę czekała, aż wszyscy pojawią się na parkiecie, tak żeby było ciasno, a wtedy przysunę się do niego naprawdę blisko. – Łapiąc gumową poręcz Emma tanecznym krokiem odwróciła się do mnie ukazując figlarny uśmiech rozświetlający jej oczy – Kiedy *naprawdę* ucieszy się z mojej obecności, rozsune jego rozporek, popchnę go i zacznę wrzeszczeć. Prawdopodobnie wyrzucą go z imprezy. Cholera, może nawet wyrzucą go ze szkoły.

- Albo wezwą policję – Skrzywiłam się wchodząc na spiralne schody i wkraczając co działu sypialno-łazienkowego. – Nie zrobiliby tego, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Zależy kto będzie pilnował. Jeśli będzie to trener Tucker, to Toby ma przerąbane. Przygwoździ jego jaja do ziemi, zanim zdąży zapiąć rozporek.

Krzywiłam się coraz bardziej idąc wzdłuż wystawy łóżek z fantazyjnymi poduszkami. Byłam pewna, że chcę upokorzyć Toby’ego i zranić jego dumę. Nie ważne jak silna była pokusa, uważam, że aresztowanie to zbyt surowa kara za porzucenie mnie przed tygodniem.

- Może powinniśmy przemyśleć ponownie tą drugą część...

- To był twój pomysł – Emma nadąsała się.

- Wiem, ale...- Zastygłam, a moja ręka powędrowała do mojej szyi wyczuwając znajomy ucisk w moim gardle.

Nie. *Nieeeeeeee!*

Potknęłam się o łóżko, nagle całkowicie przekonana z całą brutalną, chorobliwą pewnością, że nie będę mogła złapać kolejnego oddechu. Przerażenie opętało mój umysł przez który przelała się gorzka fala udręki. Rozpacz, której nie mogłam zrozumieć ani zlokalizować.

- Kaylee? Wszystko w porządku? – Emma stanęła przede mną tak, by zasłonić mnie pod spojrzeniami innych klientów i zniżyła głos – To znowu się dzieje?

Mogłam jedynie kiwnąć głową. Moje gardło było ściśnięte. Gorące. Coś ciężkiego owinęło mój żołądek i podchodziło do gardła. Po mojej skórze przebiegały ciarki. W każdej chwili ta wielka gula siedząca w moim gardle mogłaby spróbować się wyrwać, a ja musiałabym z nią walczyć.

Ktoś musiałby przegrać. Emma ścisnęła mocno torebkę, a ja rozpoznałam strach bezradności w jej oczach. Prawdopodobnie był dokładnym mojego własnego.

- Powinniśmy stąd odejść?

Potrząsnęłam głową i zmusiłam się do wyszeptania dwóch ostatnich słów.

- Za późno...

Moje gardło płonęło. Moje oczy łzawiły. Moją głowę zalał ból, echo próbującego wyszarpać się ze mnie, wrzasku. Gdybym mu mnie pozwoliła, rozdarłby mnie na pół.

Nienienienie...! Tego tam nie ma. Nie mogę tego widzieć!

Ale tam było – w przejściu między ułożonymi tęczowymi górami ręczników kąpielowych. Głęboki cień, jak kokon mroku. *Kto to jest?* Było tam zbyt wielu ludzi. Nie mogłam dostrzec kogo przepełnia ciemność, kto nosi ja jak drugą skórę.

Nie chciałam zobaczyć.

Zamknęłam oczy, bezkształtne, bezgraniczne przerażenie zbliżało się do mnie ze wszystkim stron. Dusiło mnie. Gorycz rozpacz była zbyt wielka, bym mogła walczyć w ciemności, więc zmusiłam się do ponownego otwarcia oczu, lecz to działało niewiele dobrego. Panika była zbyt silna tym razem. Ciemność była zbyt blisko. Kilka kroków w lewo i mogłabym tego dotknąć. Mogłabym wsunąć moja rękę w to gniazdo cieni.

- Kylee?

Potrząsnęłam głową, bo gdybym otworzyła usta – albo nawet rozwarła szczękę – wrzask mógłby się uwolnić. Nie mogłam zmusić się, by spojrzeć Emmy w oczy. Nie mogłam oderwać mojego wzroku od czających się cieni wokół.... kogoś.

Wtedy tłum przesunął się. Rozdzielił się. I zobaczyłam.

Nie.

Najpierw, mój umysł odmówił przetłumaczenia obrazów wysyłanych mu przez oczy. Nie pozwolił mi zrozumieć. Ale ta błoga niewiedza była zbyt krótkotrwała.

To było dziecko. To w wózku inwalidzkim, od kąta z jedzeniem. Jego cienkie ręce leżały na jego kolanach, jego stopy były całkowicie „wchłonięte” przez parę jaskrawoniebieskich tenisówek. Apatyczne brązowe oczy spojrzały z poblądłej, spuchniętej twarzy. Jego głowa nie miała włosów. Łysa. Lśniaca.

To było zbyt dużo.

Wrzask eksplodował od mojego gardła i rozerwał moje usta w drodze ucieczki. Czułam jakby ktoś przepychał kolczasty drut przez moje gardło wprost do moich uszu, by dotrzeć w końcu do głowy.

Wszyscy wkoło mnie zamarli. Rękoma zaciskali niechronione uszy. Ich ciała wirowały wokół mnie. Emma odwróciła się, wstrząśnięta. Przerażona. Ona nigdy tego nie słyszała – zawsze unikałam katastrofy dzięki jej pomocy.

- Kaylee? – jej usta poruszały się, lecz ja jej nie słyszałam. Nie mogłam usłyszeć czegokolwiek przez mój własny krzyk.

Potrząsnęłam głową. Chciałam jej powiedzieć, by sobie poszła – ona nie potrafiła mi pomóc. Ale nawet nie mogłam już myśleć. Mogłam tylko wrzeszczeć, łzy spływały mi po twarzy, a usta były otwarte tak szeroko, że aż bolały. Ale nie mogłam ich zamknąć. Nie mogłam tego powstrzymać. Nie mogłam nawet krzyczeć ciszej.

Nagle wszyscy zaczęli się ruszać. Matki odsłoniły swoje uszy, by odsunąć dzieci jak najdalej, marszcząc czoła z bólu głowy, który wszyscy odczuwali. Jak włócznie dźgające mózg.

Idź... pomyślałam, chicho błagając matkę tysego dziecka, by odepchnęła je daleko. Ale ona stała jak zahipnotyzowana, przerażona i sparaliżowana atakiem mojego krzyku.

Ruch po mojej prawej przyciągnął moją uwagę. Dwóch ludzi w uniformach w kolorze khaki, biegło w moim kierunku, jeden z nich krzyczał do krótkofalówki, drugą ręką zakrywając ucho. Po prostu wiedziałam, że on krzyczy, ponieważ jego twarz była wyprana z emocji.

Faceci odepchnęli Emmę, która na to pozwoliła. Próbowali ze mną rozmawiać, ale ja ich nie słyszałam. Nie mogłam odczytać nic poza kilkoma słowami z ich ust.

...przezań...

...ranna?

...pomocy...

Przeżalenie i smutek wirowały wewnątrz mnie jak czarna burza, zaprzepaszcżając wszystko. Każdą myśl. Każdą możliwość. Każdą nadzieję.

Nadal krzyczałam.

Jeden z ochroniarzy centrum handlowego sięgnął po mnie i potknąłem się. Poleciałam na ramię łóżka i upadłam na tyłek. Moja szczęka zamknęła się – poczułam ulgę. Ale w mojej głowie nadal brzęczało echo mojego krzyku i nie mogłam go usłyszeć. Chwile potem znowu wybuchłam krzykiem.

Zaskoczony ochroniarz cofnął się, ponownie mówiąc coś do krótkofalówki. Był zdesperowany. Przeżony.

Tak jak ja.

Emma klękała przy mnie, zasłaniając uszy. Jej torebka leżała zapomniana na ziemi.

- Kylee! – Krzyknęła, lecz nie usłyszałam żadnego dźwięku. Sięgnęła po mój telefon.

Kidy wykręciła numer, świat nagle stracił swoje barwy, jak na starej fotografii. Emma stała się szara. Ochroniarze byli szarzy. Klienci byli szarzy. Nagle wszystko wirowało, skręcając się w wypraną z kolorów mgłę.

Ja siedziałam w tej mgle.

Nadal wrzeszcząc, opuściłam moje ręce do ziemi starając się poczuć. Prawdziwa mgła była zimna i wilgotna, ale ta... była nieprawdziwa. Nie mogłam jej poczuć. Nie mogłam jej dotknąć. Mogłam jednak ja widzieć. Mogłam widzieć w niej.

Po mojej lewej stronie coś się wiło. Skręcało się. Było to coś zbyt grubego i prostego by mogło się skręcić. To coś zawróciło jakoś *przez* półkę z ręcznikami, nawet nie dotykając żadnego z klientów, którzy tłoczyli się, by być jak najdalej ode mnie nie opuszczając jednocześnie działu.

Najwidoczniej byłam wystarczająco dziwaczna, by znosili ból słuchając mojego krzyku.

Po mojej prawej, coś uciekało we mgle przy ziemi, gdzie była ona najgęściejsza. To coś pędziło do mnie, więc poderwałam się i odciągnęłam Emmę. Ochroniarze odskoczyli, ponownie zaskoczeni.

Emma wyrwała się z mojego uścisku, jej oczy były wielkie z przerażenia. I właśnie wtedy się zamknęłam. Nie mogłam więcej znieść, ale nie umiałam nad tym zapanować. Nie mogłam powstrzymać wrzasku, albo bólu, nie mogłam przestać się gapić, nie mogłam powstrzymać mgły, ani niesamowitego wirowania. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że nie mogłam powstrzymać pewności, że to dziecko – ten biedny chłopiec na wózku inwalidzkim – umrze.

Wkrótce.

Nagle dotarło do mnie, że zamknęłam oczy. Próbowalam to wszystko powstrzymać.

Na ślepo sięgałam, zdesperowana by wyjść z mgły, której nie mogłam poczuć. Nie mogłam dłużej patrzeć. Moje ręce wyczuły coś miękkiego i wysokiego. Coś czego nie potrafiłam określić słowami. Wspięłam się na to, czołgając się przez góry materiału.

Zwinęłam się w kłębek, przyciągając rękami coś pluszowego do piersi. Przesuwałam po tym ręką raz za razem. Uporczywie trzymając dowód rzeczywistości, która wciąż istnieje.

Ból. Boli. Czułam ranę na szyi.

Moje palce były mokre. Lepkie.

Coś chwyciło moją rękę. Przytrzymało mnie.

Byłam pokonana. Krzyczałam. Byłam ranna.

Ból szarpał moje nogi, pod skórą eksplodował żar. Mrugnęłam, a znajoma twarz ukazała się koło mnie, szara we mgle. *Ciocia Val*. Emma stała za moja ciocią, twarz pokrywały jej ślady po płaczu i rozmazany tusz do rzęs. Ciocia Val powiedziała coś czego nie usłyszałam. Nagle moje powieki stały się ciężkie.

Zalała mnie nowa fala paniki. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam utrzymać moich oczu otwartych. A moje struny głosowe wciąż były nadwyreżone. Świat zbliżał się do mnie, ciemny i mały, bez dźwięków, ale szloch nadal wydobywał się z mojego nadwyreżonego gardła.

Nowa ciemność. Czysta. Bez szarości.

A ja wciąż krzyczałam...

Moje sny były mieszaniną potężnego chaosu. Poobijane kończyny. Posiniaczone pięści. Wirujące cienie. I to wszystko było już tylko skrzekiem, ochrypłym echem jego byłej siły, ale nie mniej bolesnym.

Światło prześwitywało przez moje zamknięte powieki; mój świat był czerwoną plamą. Powietrze było niewłaściwe. Zbyt zimne. Pachniało niewłaściwie. Zbyt czysto.

Moje oczy były otwarte, ale musiałam mrugnąć kilka razy zanim wzrok się wyostrzył. Mój język był tak suchy, że miałam wrażenie że moje wargi przecieram papierem ściernym. Moje usta miały dziwny smak i bolał mnie każdy mięsień mojego ciała.

Spróbowałam się podnieść, ale moje ramiona nie pracowały. *Nie mogły pracować*. Oni przywiązali mnie do czegoś. Mój puls przyspieszył. Kopnęłam, ale moje nogi również były związane.

Nie! Moje serce waliło, pociągnęłam zarówno ręce jak i nogi, szarpnęłam nimi w lewo i w prawo, ale nie mogłam nimi poruszyć więcej niż o kilka cali. Zostałam przywiązana do łóżka za moje przeguby i kostki i nie mogłam się podnieść. Nie mogłam się przewrócić. Nie mogłam podeprzeć się na łokciach. Nie mogłam nawet podrapać się w mój własny nos.

- Pomocy! – Zapłakałam, ale mój głos brzmiał jak ochrypły skrzek. Żadna samogłoska ani spółgłoska nie zabrzmiała. Znów zamrugałam, przesunęłam głowę na jedną stronę, potem na drugą, próbując zmienić pozycję.

Pokój był klaustrofobicznie mały. Pusty, inny niż mój, z kamerą zamontowaną w jednym z kątów i wysokim, twardym materacem pode mną. Ściany były sterylne, chropowate i białe. Na wysokości mojego wzroku nie widziałam żadnych okien i nie

mogłam zobaczyć podłogi. Dekoracje i antyseptyczny zapach nie pozostawiały złudzeń.

Szpital. Zostałam przywiązana do szpitalnego łóżka. Zupełnie sama.

To było jak jedna z gier Emmy, gdzie bohater budzi się w dziwnym pokoju, bez wspomnień jak się tam dostał. Tu jednak, w prawdziwym życiu, nie było żadnej skrzyni w kącie, kryjącej klucz do moich łańcuchów wraz ze wskazówką napisaną na pergaminie.

Liczyłam, że nie było tu również potworów z takiej gry, czekających jedynie by mnie pożreć, gdybym się zgubiła, ponieważ nawet gdyby ktoś zostawił mi pistolet, nie wiedziałabym jak go używać.

Ale mój cel był jasny: Wyjść. Wrócić do domu.

Łatwiej mówić niż zrobić, szczególnie bez możliwości użycia rąk.

Puls wybijał w moich uszach puste echo prawdziwego strachu. Obezwładniająca potrzeba, by krzyczeć, już minęła, ale ogarnął mnie inny rodzaj paniki związany z tym miejscem. A co gdyby wybuchł pożar? Albo rozpętało się tornado? Albo znowu powrócił krzyk? Ktoś by mnie stąd zabrał, czy zostawiliby mnie na pewną śmierć? Byłabym łatwą zdobyczą, dla tych cieni, dla jakiegokolwiek katastrofy, albo przypadkowego psychopaty, który by tu zajrzał.

Musiałam wydostać się z łóżka. Ale jakoś inaczej niż przez to głupie... szarpanie.

- Proszę... - błagałam do kamery, sfrustrowana własnym słabym szeptem. Przełknęłam kulę w gardle, potem spróbowałam ponownie – Proszę wypuście mnie – moje słowa były wyraźniejsze, choć wciąż ciche – Proszę...

Żadnej odpowiedzi. Mój puls przyspieszył, wpompowując adrenalinę w moje ciało. A gdyby wszyscy byli martwi, a ostatnia żywa osoba na Ziemi byłaby przywiązana do łóżka? Co gdyby nasza cywilizacja dobiegła końca? Przez skórzane rzemienia i wyściełane kajdanki?

Trzymaj się, Kaylee.

Rzeczywistość była prawdopodobnie mniej naciągana, ale równie przerażająca: Byłam w pułapce. Bezradna, obnażona i bezbronna. I nagle nie mogłam oddychać. Nie mogłam powstrzymać serca przed szalonym biciem. Jeżeli zaraz się nie uwolnię, za chwilę znowu zacznę wrzeszczeć – tym razem po prostu z przerażenia, ale skutek będzie podobny. Oni znów by mnie uspili i cykl powtórzyłby się od nowa aż do znudzenia. Zostałabym w tym łóżku do końca swoich dni, chroniąc się przed cieniami.

Co z tego, że nie ma tu okien i jedynie żarówki dają światło w pokoju? Tu mogły być cienie, i mogły po mnie przyjść. Byłam tego pewna.

- Proszę! – Krzyknęłam, prawie dostając zawrotu głowy, gdy usłyszałam swój wrzask.

- Wpuście mnie. – Drzwi otworzyły się sekundę po tym, zanim zaczęłam na poważnie domagać się swoich praw. – Cześć Kaylee, jak się czujesz? – Z wysiłkiem uniosłam głowę słysząc spokojny, męski głos. Był wysoki i szczupły, ale wyglądał na silnego. Zła skóra, dobre włosy.

- Jak żaba po przeprowadzonej sekcji – powiedziałam, gdy odpiął moje lewe ramię. Już go polubiłam.

- Na twoje szczęście nigdy nie umiałem posługiwać się skalpelem – Jego uśmiech był miły, a jego brązowe oczy dobre. Na jego identyfikatorze przeczytałam: Paul Connors, psychiatra.

Psychiatria? Mój żołądek zwinął się w supeł – Gdzie ja jestem?

Paul ostrożnie odpiął moje drugie ramię. – Jesteś na oddziale psychiatrycznym szpitala w Lakeside, podlegającego pod Arlington Memorial.

Lakeside. Oddział psychiatrii. *Cholera.*

- Hm, nie. Nie mogę tu być. Ktoś popełnił błąd. – Panika wystarczająco szybko dostawała się do krwiobiegu, bym zaczęła drzeć. – Chcę porozmawiać z moją ciocią. Albo wujkiem. On wszystko wyjaśni. – Wujek Brendon miał dar wyjaśniania rzeczy bez wkurzania ludzi – zawsze zazdrościłam mu tej umiejętności.

Paul uśmiechnął się znowu i pomógł mi usiąść. – Kiedy już się zdomowisz, zaprosisz ich.

Ale ja nie chciałam się zdomowić.

Skarpetka na mojej stopie przykuła moją uwagę na końcu łóżka. – Gdzie są moje buty?

- Są w twoim pokoju. Musieliśmy je zdjąć i rozsznurować. Dla bezpieczeństwa wszystkich, zakazaliśmy sznurowadeł, pasów, sznurków albo pasków od szlafroków.

Moje sznurowadła były niebezpieczne? Walcząc ze łzami pochyliłam się by uwolnić moją prawą nogę.

- Ostrożnie. Możesz być zeszywniała i słaba na początku. – powiedział, rozwiązując moja lewą nogę. – Byłaś nieprzytomna przez jakiś czas.

Moje serce waliło boleśnie. – Jak długo?

- Och, tylko przez piętnaście godzin.

Co? Podniosłam się, czując jak moje oczy zachodzą łzami w przerażeniu. – Zostawiłeś mnie przywiązaną do łóżka przez piętnaście godzin? Nie ma na to jakiegoś paragrafu?

- Sporo ich. I przestrzegamy każdego z nich. Potrzebujesz pomocy przy wstawaniu?

- Poradzę sobie – warknęłam. Wiedziałam, że źle ukierunkowuję mój gniew, ale nie mogłam na to poradzić. Straciłam piętnaście godzin mojego życia przez zastrzyk i cztery łańcuchy mojej niewoli. Nie byłam w tej chwili w tej chwili przyjaźnie nastawiona.

- Dlaczego mnie związane? – zsunęłam się ostrożnie z łóżka, poparłam głowę w której mi się kręciło. Zimno obskurnej terakoty przechodziło przez moje skarpetki.

- Przywieźli cię na noszach, wrzeszczącą i bijącą, nawet po środkach uspokajających. Nawet gdy już straciłaś głos, wymachiwałaś wokoło, jakbyś walczyła we śnie. – Krew odpłynęła z mojej twarzy tak szybko, że znów dostałam zwrotów głowy.

- Naprawdę? – Nic dziwnego, że byłam cała obolała, walczyłam, mimo zastrzyku, przez wiele godzin. We śnie. Jeżeli śpiączkę farmakologiczną można zaliczyć jako sen.

Paul kiwnął głową z powagą i cofnął się, by dać mi trochę przestrzeni kiedy wstałam.

- Tak i zaczęło się znowu kilka godzin temu, więc musieli cię zapiąć, byś nie spadła z łóżka.

- Znowu wrzeszczałam? – Mój żołądek zamienił się w wielką dziurę prażenia, wirującą powoli, odgrazając się, że mnie pochłonie jak czarna dziura. Co do diabła było ze mną nie tak?

Vincent Rachel – Moja dusza do stracenia

- Nie, biłaś. Uspokoiłaś się jakieś pół godziny temu. Właśnie szedłem by cię odpiąć.

- Co oni mi dali? – Dotknęłam ściany kiedy nowa fala zawrotów głowy prawie mnie przewróciła.

- Zwykła mieszanka. Ativan, Haldol i Benadryl, oraz Benadryl przeciwko skutkom ubocznym. – Nic dziwnego, że spałam tak długo. Nie miałam pojęcia co to były za dwa pierwsze leki, ale sam Benadryl wystarczał, by zwalić mnie z nóg na wszystkie noce w sezonie alergicznym. To cud, że w ogóle się obudziłam.

- Co jeśli byłabym uczulona na któryś z nich? - Zażądałam wyjaśnień, krzyżując ręce na koszulce, która nosiłam w centrum handlowym. Jak na razie pobudka w moich własnych ciuchach była najlepszą rzeczą jaką udało mi się odkryć.

- Wtedy ta rozmowa odbywałaby się na intensywnej terapii, zamiast w pokoju wyciszenia.

Pokój wyciszenia? Byłam nieco zaniepokojona faktem, że mają nazwę dla tego miejsca.

Paul szarpnięciem otworzył drzwi.

- Zaraz za tobą. – Usztywniłam kręgosłup i wyszłam do jasnego korytarza, niepewna, czego oczekiwać. Ludzi w kaftanach bezpieczeństwa mamroczących do siebie? Pielęgniarek w białych uniformach z wykrochmalonymi czepkami? Ale korytarz był pusty i spokojny.

Paul wyprzedził mnie, podeszłam za nim do ostatnich drzwi po lewej, które zostawił dla mnie otwarte.

Wepchnęłam ręce do kieszeni, by ukryć fakt jak bardzo mi się trzęsą, wtedy przekroczyłam próg.

Kolejny biały pokój, nie większy niż pierwszy. Łóżko było zestawem materaca i ciężkiej drewnianej ramy, zbyt wąskiej i za niskiej. Przykryte prostym, białym kocem. Puste, proste półki były przymocowane do ścian zastępując kredens i było jedno długie, wysokie okno. Żadnej szafy.

Moje buty bez sznurówek leżały przy łóżku. Była to jedyna znajoma mi rzecz w tym pokoju. Wszystko inne było obce. Zimne. Przerazające.

- Więc... tu mnie umieszczono? – mój głos drżał. Nic nie mogłam na to poradzić.

- Tu będziesz hospitalizowana – Paul odpowiedział od wejścia.

- A jaka to różnica? – Stałam przy końcu łóżka, niechętna, by usiąść. By było mi wygodnie.

- To jest tymczasowe.

- Jak tymczasowe?

- Zależy od ciebie i od twojego doktora. – posłał mi współczujący uśmiech, potem wrócił na korytarz. – Jedna z pielęgniarek zaraz przyjdzie by pomóc ci się rozgościć. Trzymaj się, Kaylee.

Mogłam jedynie kiwnąć głową. Sekundę później, Paul wyszedł. Byłam sama. Znowu.

Z zewnątrz dochodził głośny brzęk wózka pchanego wzdłuż korytarza. Buty piszczały na podłodze. I gdzieś w pobliżu, ktoś zapłakał ogromnym, dramatycznym szlochem. Gapiłam się na moje stopy, niechętna, by czegoś dotknąć ze strachu, iż mogłoby to wywołać kolejny atak. Naprawdę się bałam.

Czy ja zwariowałam?

Nadal stałam tam jak idiotka, kiedy drzwi otworzyły się i weszła kobieta w blado-różowym mundurku niosąc kartę zdrowie i pióro. Na jej identyfikatorze przeczytałam: Nancy Briggs, R.N.

- Cześć, Kaylee, jak się czujesz? – jej uśmiech był szeroki i przyjazny, ale wydawał się... powściągliwy. Jak gdyby wiedziała ile tylko należy dać. Jak pokazać się przyjaznym bez rozpoczynania faktycznej rozmowy.

Już zatęskniłam za Paul'em.

- Zmieszana i stęskniona za domem. – Jedną ręką złapałam brzeg szafki, gotowa zmiażdżyć ją samym dotykiem. Wracałam do złego snu, z którego pewnie budziłabym się co chwilę.

- Dobrze, zobaczymy czy możemy naprawić pierwszą część tego. – Uśmiech pielęgniarki powiększył się, ale nie ocieplił – W korytarzu jest telefon. Obecnie ktoś z niego korzysta, ale jak tylko będzie wolny możesz go użyć. Lokalne numery, prawni opiekunowie. Powiedz komuś na recepcji gdzie chcesz zadzwonić, a cię połączymy.

Zamarłam, mogłam jedynie mrugać. To nie był szpital, to było więzienie.

Poklepałam kieszeń, próbując wyczuć mój telefon. Nie było go. Świeża fala paniki eksplodowała w mojej piersi i pomacałam ręką drugą kieszeń. Zniknęła karta kredytowa cioci Val. Zabije mnie, jeżeli ją zgubiłam!

- Gdzie są moje rzeczy? – Zapytałam, próbując powstrzymać łzy, które zamazywały moje pole widzenia – Miałam telefon i błyszczyk i jakieś dwadzieścia dolarów. I kartę kredytową mojej cioci.

Uśmiech pielęgniarki stał się bardziej przyjazny, albo z powodu moich łez albo z faktu że mój strach nie wzrasta.

- Trzymamy wszystkie osobiste rzeczy w zamknięciu, aż zostaniesz wypisana. Wszystko tam jest oprócz karty kredytowej. Twoja ciocia wzięła ją kiedy tu była zeszłej nocy.

- Ciocia Val tu była? – Użyłam moich dłoni by wytrzeć oczy, które znowu napełniły się łzami. Jeżeli ona tu była, czemu nie zabrała mnie do domu?

- Ona przyjechała z tobą karetką.

Karetką. Wypis. Zamknięcie. Te słowa zabrzmiały w mojej głowie, jak lista strachu i zakłopotania.

- Która godzina?

- Jedenasta trzydzieści. Za pół godziny podadzą lunch. Możesz zjeść w stołówce, w dół korytarza i na lewo. Śniadanie jest o siódmej. Obiad o osiemnastej. – Przełożyła do lewej ręki notes i pióro i pchnięciem otworzyła drzwi, których nie zauważyłam, ujawniając przestronną, białą przemysłową toaletę wraz z przegrodą prysznicową. – Możesz brać prysznic kiedykolwiek zechcesz. Tylko najpierw przyjdź do pokoju pielęgniarek po zestaw do higieny.

- Zestaw do higieny? – Moje oczy otworzyły się szeroko gdy moje wnętrze zamarło.

To nie może być prawda. To się nie dzieje.

- Wydajemy mydło i szampon kiedy są potrzebne. Jeżeli będziesz chciała ogolić się, będziesz musiała pozostać pod nadzorem kogoś z obsługi. Mrugnęłam, nie rozumiawszy, ale ona kontynuowała – Jest sesja grupowa o panowaniu nad gniewem o dziewiątej, o radzeniu sobie z depresją o jedenastej i o drugiej po południu o symptomach choroby umysłowej. To będzie dobre na początek.

Uśmiechnęła się cierpliwie, jakby w oczekiwaniu na podziękowania za przekazane informacje, ale ja tylko gapiłam się na puste półki. Te jej instrukcje były dla mnie nieistotne. Chciałam jedynie wyjść jak najszybciej, prawdopodobnie więc jedyną grupą, którą byłabym zainteresowana byłaby grupa członków mojej rodziny, którzy mogliby sprawić by to się stało.

- Pokoje chłopców są w drugim skrzydle, po drugiej stronie wspólnego obszaru. Dziewczyny nie mogą tam przebywać i vice versa. Odwiedziny są każdego wieczoru od siódmej do dziewiątej. Światła wyłączamy o dziesiątej-trzydzięci. Będiesz sprawdzana po każdym piętnastu minutach poza zasięgiem wzroku pielęgniarek. – Zmilkła, a ja popatrzyłam w górę napotykaając jej nieobecne spojrzenie – Masz jeszcze jakieś pytania?

Moje oczy ponownie napęłniły się łzami, ale ja nie przejmowałam się wycieraniem ich.

- Dlaczego tu jestem?

- To jest pytanie do Twojego doktora. – Spojrzała szybko w podręczny notatnik – Dr Nelson. Ma obchód po lunchu od poniedziałku do piątku. Zobaczysz się z nim jutro. – Zawahała się i ustawiła kartę zdrowia na półce przymocowanej do ściany. – Jak twoja szyja? Nie potrzebowałaś szwów, ale oczyścili rany...

Rany? Moja prawa ręka natychmiast podążyła do mojej szyi i wzdrygnęłam się kiedy poczułam jak obolała jest skóra w tym miejscu. I jak... szorstka. Moje serce głucho biło, kiedy gnałam do łazienki. Małe, refleksyjne lustro nad aluminiowym zlewem pokazało, że wciąż nosiłam wczorajszy tusz do rzęs, który teraz był po obu stronach mojej twarzy. Moja skóra była blada, moje długie włosy beznadziejnie poplątane.

Uniosłam podbródek i obróciłam się do światła. Mój ciężki oddech odbił się echem po małym pomieszczeniu. Moja szyja była plątaniną krwawych zadrapań.

I nagle przypomniałam sobie ból w mojej szyi. Mokre, lepkie palce.

Moja ręka trzęsła się gdy trzymałam ją w świetle. Ciemna skorupa nadal pokrywała moją skórę. Krew. Zrobiłam to dla siebie, wstrzymując krzyk.

Nic dziwnego, że pomyśleli iż jestem wariatką.

Być może mieli rację.

Pielęgniarka powiedziała, że nie wolno mi zamykać moich drzwi, ale zamknęłam je idąc pod prysznic i znów kiedy wyszłam z łazienki, ponieważ ona zostawiła je otwarte po jednej, z co piętnastominutowych kontroli.

Oni się bali, że się zabiję? W takim razie, powinnam to zrobić w twórczy, ciekawy sposób. Jedynymi rzeczami, które nie były przybite do ściany lub podłogi były ręcznik na półce w toalecie i małe opakowanie mydła do rąk na zlewie. W końcu, moja дума wygrała z moją próżnością i umyłam zarówno ciało jak i włosy mydłem do rąk, zamiast błagać o podstawowy zestaw higieniczny ludzi, których nigdy nie spotkałam.

Po prysznicu, znalazłam czysty komplet purpurowych ubrań ułożonych na łóżku, ale musiałam obejść się bez bielizny, póki ktoś przyniesie mi jakieś czyste ubranie. Pielęgniarka Nancy powiedziała, że ciocia Val została poproszona o przyniesienie ich, ale kiedy moja ciocia się tu pojawi, *nie* wyjdzie beze mnie.

Czysta i ubrana – nawet jeżeli nie tak jak oczekiwałam – wpatrywałam się przez dobre trzy minuty w drzwi zanim opanowałam nerwy, przed ich otwarciem. Ominęłam zarówno obiad jak i śniadanie, więc byłam głodna, ale mniej niż chętna by na nie pójść. W końcu, po dwóch nieudanych próbach, ogarnęłam wciąż mokre włosy z twarzy i otworzyłam pchnięciem drzwi.

Moje trampki piszczały w pustym korytarzu i poszłam powoli za dźwiękiem brzęczącej zastawy stołowej, całkowicie świadoma, że słyszę kilka głosów mimo braku konwersacji. Większość drzwi, które mijalam były otwarte, ujawniając inne identyczne pokoje. Jedynymi różnicami między pokojami były rzeczy osobiste. Ubrania poukładane na półkach i obrazy powieszzone na ścianach.

W połowie drogi przez korytarz, dziewczyna, która była kilka lat młodsza ode mnie, siedziała samotnie na łóżku w pokoju, który był prawie tak samo pusty jak mój, mówiąc do siebie. Nie szepcząc pod nosem, czy upominając siebie by nie zapomnieć o czymś ważnym. Właściwie rozmawiała ze sobą, na cały głos.

Kiedy skręciłam za róg, znalazłam źródło kolejnego głosu, jak tylko dotarłam do stołówki. Pięć okrągłych stołów stało w dużym pokoju, zajęтым przez normalnie wyglądających ludzi w dzinsach i podkoszulkach. Wysoko na jednej ze ścian ponad ich głowami wisiał mały telewizor w którym leciał *SpongeBob*⁴.

- Tace są na wózku. - Podskoczyłam odwracając się i ujrzałam kolejną kobietę – ta była w żurawinowym stroju – siedzącą w szpitalnej poczekalni na krześle blisko wejścia. Jej plakietka głosiła : Judy Sullivan, Technik Zdrowia Psychicznego - Znajdź tą z twoim imieniem i zajmij miejsce.

Wzięłam przykrytą tacę z etykietką Kaylee Cavanaugh z drugiej półki wózka, potem rozejrzałam się za miejscem do siedzenia. Nie było żadnego pustego stołu – większość miała dwóch lub trzech użytkowników – każdy jadł w ciszy i słysząc było tylko skrobanie sztućców po tacach.

Kąty pokoju zostały wyposażone w kilka sztywno wyglądających krzeseł i mały tapczan z blado-zielonymi poduszkami, na którym siedziała samotnie dziewczyna z tacą na kolanach. Dłubała widelcem jakiś kawałek mięsa, ale wydawała się bardziej zainteresowana tworzonymi na nim przez siebie wzorami niż jedzeniem.

Znalazłam miejsce przy stole i zjadłam w ciszy, ledwo przełykając suche kawałki mięsa i nieświeży chleb, zanim zerknęłam znad mojej tacy – bezpośrednio w oczy dziewczyny siedzącej samotnie w oddalonej części pokoju. Przyglądała mi się z ostrożną i niecierpliwą ciekawością, jakbym była robakiem pełzającym po chodniku. Zastanawiałam się przez chwilę, czy była typem, który wyrывa takim robaczkom skrzydełka. Zastanowiłam się również, dlaczego była w Lakeside.

Szybko jednak pozbyłam się tych myśli – tak naprawdę, nie chciałam wiedzieć. Nie chciałam znać powodów dla których ktokolwiek tu był. Po krótkiej chwili dotarło do mnie, oni zostali zamknięci, bo byli wariatami.

Och, a ty jesteś lśniącym wyjątkiem? jakiś zdradziecki głos dopytywał się wewnątrz mojej głowy. *Dziewczyna, która widzi rzeczy których nie ma i nie może przestać*

⁴ *SpongeBob Kanciestoporty* - (ang. *SpongeBob SquarePants*) – serial animowany produkcji *Nickelodeon*;

SpongeBob Kanciestoporty (ang. *SpongeBob SquarePants*) – żółta gąbka ubrana w kwadratowe spodnie.

Mieszka w swoim domku z ananasa razem ze ślimakiem Gacusem (ang. *Gary*). Uwielbia smażyć, gdyż sprawia to mu przyjemność. Pracuje w restauracji pana Kraba. W wolnych chwilach lubi puszczać bańki i łowić meduzy. Przyjaźnie nastawiony do życia, nie boi się przygód. Jego ulubione powiedzonko to: "Jestem gotów!" (ang. *"I'm ready"*). – przyp. tłum

wrzeszczeć. Która próbuje rozerwać swoje własne gardło w środku centrum handlowego. Tak, ty z pewnością jesteś zdrowa psychicznie.

W tym momencie mój apetyt minął. Jednak Dziewczyna Od Kawałka Mięsa – Lidia Trainer, jak było napisane na jej tacy – wciąż się na mnie gapiała, czarne włosy opadały w nieładzie na połowę jej twarzy, ukazując jedynie tylko jedno, blado-zielone oko. Moje ponowne spojrzenie nie zrobiło na niej wrażenia, nie zmusiło, by przestała tak na mnie patrzeć. Ona mnie obserwowała, tak jakbym za moment miała poderwać się i zacząć tańczyć Cza-czę.

Wtedy jednak ktoś inny przeszedł między nami i przyciągnął jej uwagę jak kłębek wełny puszczony przed kotem. Spojrzenie Lidii powędrowało za wysoką, postawną dziewczyną odnoszącą pustą tacę na wózek.

- Mandy, gdzie jest twój widelec? – Judy, ta technik zdrowia psychicznego, zapytała stojąc tak, że widziała tacę dziewczyny. Jej napięcie sprawiło, że stałam się nerwowa. Tak, jakby oczekiwała, że Mandy wychyli się do przodu i ją ugryzie.

Mandy z hukiem upuściła tacę na wózek, wsadziła jedną rękę do kieszeni dżinsów i wyciągnęła widelec. Jeżeli została we mnie jeszcze jakaś część apetytu, to właśnie została uśmiercona. Mandy rzuciła widelec na tacę, rzuciła pogardliwe spojrzenie pielęgniarki, wtedy przeszła szurając skarpetkami po podłodze do innej sali za korytarzem.

Lidia nadal przyglądała się Mandy, teraz jednak jej twarz była wykrzywiona w grymasie i jedną ręką trzymała się za brzuch.

Zerknęłam na jej tacę, by policzyć sztuczce. Czy ona połknęła nóż, albo zrobiła coś równie głupiego, kiedy Judy skierowała uwagę na Pannę Wiedelec-W-Majtkach? Nie, wszystkie elementy były na miejscu i nie mogłam znaleźć żadnego powodu dla cierpiącego spojrzenia Lidii.

Prześlizgując się do wyjścia oddałam wszystkie sztuczce położone na tacy – przeliczone – potem uciekłam do swojego pokoju, nie podnosząc głowy do momentu, aż znalazłam się w swoim pokoju.

- Halo?

- Ciocia Val? – zawinęłam staromodny sznur telefoniczny dookoła mojego palca wskazującego i przekręciłam się na twardym plastikowym krześle do ściany. To była jedyna odmiana prywatności, jaką mogłam sobie zapewnić na środku korytarza.

Oddałabym królestwo za komórkę.

- Kaylee! – Moja ciocia zabrzmiała wesoło i wiedziałam, nawet bez spoglądania na nią, że jej włosy są doskonale uczesane, a jej makijaż nienagannie nałożony, mimo że nie wychodziła nigdzie przez weekend.

Chyba, że miała przyjść mnie zabrać. Proszę, niech ona przyjdzie mnie zabrać...

- Jak się czujesz, słoneczko? – ciocia Val kontynuowała, z niewielkim zażądaniem zaniepokojenia, że coś zepsuje jej postanowienie dobrego humoru.

- Świetnie. Czuję się dobrze. Przyjedź po mnie. Jestem gotowa by wrócić do domu.

Jak mogłaś pozwolić im mnie tu przyprowadzić? Jak mogłaś mnie tu zostawić? Nigdy nie zostawiłaby swojej własnej córki w miejscu takim jak to. Obojętnie co by

Sophie zrobiła, ciocia Val wzięłaby ją do domu, zrobiła kubek ciepłej herbaty i sama zajęła się problemem.

Nie mogłam jej jednak tego powiedzieć. Moja matka nie żyła i nie miałam nikogo poza ciocią Val i wujkiem Brendanem, którzy zabrali mnie gdy mój ojciec wyjechał do Irlandii gdy miałam trzy latka, więc nie mogłam wykrzyknąć jak bardzo cierpiała moja dusza pożerana od wewnątrz przez poczucie niesprawiedliwości wijące się we mnie jak bluszcz. Przynajmniej nie zamierzam płakać, bo płacz zapewniłby ich o mojej niestabilności psychicznej i dałby im powód by mnie tu trzymać. Dałby również powód cioci Val, by przywieźć moje ubranie i uciec.

- Um... właśnie myślałam o tym by do ciebie przyjechać. Czy widziałas się już z doktorem? Czy myślisz, że będę mogła z nim porozmawiać?

- Tak, pewnie. Po to tu chyba są?

Patrząc na to, co powiedziała siostra Nancy, doktor nie robi obchodów w weekendy, ale gdybym powiedziała to cioci Val, gotowa byłaby poczekać do oficjalnych godzin przyjęć. Z doktorem czy bez, byłam pewna, że zabierze mnie do domu jak tylko mnie zobaczy. Gdy tylko spojrzy na to miejsce i na mnie w nim. Może nie miałyśmy tej samej krwi, ale w końcu mnie *wychowała*. Przecież nie może odejść drugi raz, prawda?

Gdzieś w pobliżu wspólnej sali, donośny męski głos zakomunikował, że grupa opanowywania gniewu właśnie rozpoczyna swoje spotkanie, zasugerował również, by ktoś imieniem Brent się na nim pojawił.

Oparłam swoje czoło o zimną ścianę i spróbowałam zablokować to wszystko, ale zawsze kiedy otwierałam oczy, zawsze kiedy wciągałam zimne, sterylne powietrze, wiedziałam dokładnie gdzie jestem. I że nie mogę odejść.

- W porządku. Przyniosę kilka rzeczy dla ciebie – ciocia powiedziała miękko do mojego ucha.

Co? Zachciało mi się płakać.

- Nie. Ciociu Val, nie potrzebuję żadnych rzeczy. Potrzebuję stąd wyjść.

Ona westchnęła, brzmiąc prawie na tak sfrustrowaną jak ja.

- Wiem, ale to zależy od twojego doktora i jeżeli odmówi... albo coś, czy nie czułabyś się lepiej mając świeżą zmianę ubrań?

- Chyba tak – Prawda była jednak taka, że nie poczuje się lepiej, póki Lakeside nie zostanie przeszłością, odległym nieprzyjemnym wspomnieniem, zamiast aktualnie trwającego koszmaru.

- Nie pozwolą ci mieć nic poza ubraniami i książkami. Czy chcesz coś przeczytać?

Jedyną rzeczą jaką chciałam przeczytać był napis wyjście po drugiej stronie pokoju pielęgniarek. Ten gdzie trzeba było zostać wypuszczonym by go zobaczyć.

- Um...Mam pracę do napisania na następny tydzień. Czy mogłabyś wziąć „Nowy, wspaniały świat”⁵ z mojego nocnego stolika? – *Widzisz? Nie zwariowałam. Jestem odpowiedzialna i skupiona na szkole. Może jednak weźmiesz mnie do domu, bym mogła pokazać na co naprawdę mnie stać?*

Ciocia Val milczała przez chwilę i mój niepokój objawiający się uciskiem w żołądku wzrósł.

⁵ „Nowy, wspaniały świat” powieść Aldousa Huxleya napisana w 1932 roku. Jest to antyutopia, klasyfikowana do gatunku science-fiction.

Vincent Rachel – Moja dusza do stracenia

- Kaylee, uważam, że nie powinnaś myśleć o pracy domowej właśnie teraz. Możemy powiedzieć w szkole, że masz gripę.

Za mną usłyszałam szuranie przechodzącej grupy, na zapowiadane spotkanie. Wetknęłam palec do ucha, próbując zablokować hałas.

- Grypa? Czy to nie zajmuje przynajmniej tygodnia żeby wydobrzeć?

Nie mogę przecież stracić tyle szkoły. Nie stracę nic, jeżeli zabierze mnie do domu jeszcze dzisiaj!

Ciocia westchnęła, a mój żołądek zacisnął się jak bryła strachu przytwarzająca mnie do krzesła.

- Ja tylko próbuję kupić ci trochę czasu byś mogła odpocząć. To nie będzie kłamstwo. Nie możesz powiedzieć mi, że czujesz się dobrze w stu procentach...

- Dlatego, że wstrzyknęli mi tyle tego gówna, że można by usnąć słoniam! – I byłam przekonana, że mogę to udowodnić.

- O ile mi wiadomo, to właściwie możesz mieć gripę. Słyszałam jak kichasz ostatnio. – Dokończyła, a ja wywróciłam oczami.

- Nie zamykają ludzi chorych na gripę ciociu Val. – Nie, chyba, że to ptasia grypa albo Grypa-Końca-Świata Stephena Kinga⁶.

- Wiem. Posłuchaj, będę tam niedługo i wtedy będziemy mogły o tym porozmawiać.

- Co na to wujek Brandon?

Kolejna pauza. Czasami milczenie ciocia Val dawało więcej do zrozumienia niż coś co powiedziała.

- Zabrał Sophie na lunch, by wyjaśnić jej to co się stało. To naprawdę nie jest dla nich łatwe, Kaylee.

A dla mnie to niby jest?

- Ale oboje przyjdą dziś wieczorem się z tobą zobaczyć.

Tyle, że nie będzie mnie tu do tego czasu, nawet jeśli miałabym upaść na kolana i ją błagać by zabrała mnie do domu. Jeśli miałabym znowu tu się obudzić, chyba bym straciła rozum. Przyjmując, że nadal go miałam.

- Obiecujesz? – Nie poprosiłam jej by mi coś obiecała odkąd skończyłam dziewięć lat.

- Oczywiście. My tylko chcemy ci pomóc, Kaylee.

Jakimś cudem, nie czułam się pocieszona.

Czekałam we wspólnej sali, uparcie układając puzzle i rozwiązując krzyżówki ułożone w stóg na półce w kącie. Nie byłam tu jednak na tyle długo by ułożyć którąkolwiek. Zamiast tego gapiłam się w TV, marząc o tym by puścili jakieś *fajne* kreskówki. Ale jeżeli był tu dostępny jakiś pilot, nie miałam pojęcia gdzie go znaleźć.

Puścili reklamę i moja uwaga ulotniła się, mimo moich najlepszych wysiłków, by zignorować współpacjentów. Lidia usiadła po drugiej stronie pokoju, nawet nie próbując udawać, że ogląda telewizję. Ona patrzyła na mnie.

⁶ Odwołanie do powieści pt. „Bastion” autorstwa Kinga, gdzie supernowoczesna broń biologiczna niesie zagładę ludzkości pod postacią grypy.

Spojrzałam na nią. Nie uśmiechała się. Nic nie mówiła. Ona jedynie patrzyła na mnie, ale nie takim nieobecny wzrokiem jak niektórzy z pensjonariuszy. Lidia właściwie wydawała się mnie obserwować, jakby szukała czegoś szczególnego. Czego? Nie miałam pojęcia.

- Niesamowite, nieprawdaż? – Mandy oparła się o krzesło po mojej lewej stronie i powietrze poruszyło się od jej oparcia. – Sposób w jaki ona patrzy.

Spojrzałam w górę, by odnaleźć jej spojrzenie wpatrzone przez cały pokój w Lidie.

- Nie bardziej, niż cokolwiek tutaj. – Szczerze, nie szukałam rozmowy ani przyjaciół, szczególnie takich, którzy wciskają sobie widelce do majtek.

- Ona jest pod ochroną sądu. – Mandy nadgryzła do połowy zjedzony już baton czekoladowy, potem kontynuowała z pełnymi ustami – Nigdy nie rozmawia. Moim zdaniem jest najdziwniejsza tutaj.

Miałam co do tego poważne wątpliwości.

- A co ty tutaj robisz? – Jej spojrzenie powędrowało w dół mojej twarzy i z powrotem – Pozwól mi zgadnąć. Jesteś albo z powodu depresji maniakalnej albo anoreksji.

Zagotowałam się, ale byłam dumna z mojej wyważonej odpowiedzi.

- Ja też z nikim nie rozmawiam.

Gapiała się na mnie przez sekundę, a potem wpadła w ciężki, histeryczny śmiech.

- Mandy, czemu nie znajdziesz sobie czegoś konstruktywnego do roboty? – Powiedział znajomy głos, a ja spojrzałam w górę i zobaczyłam Paula w wejściu, trzymającego...

Moja walizka!

Rzuciłam się do niego z kanapy, a on wyciągnął do mnie torbę.

- Pomyślałem, że to mogłoby sprawić, że się uśmiechniesz.

Faktycznie, byłam podekscytowana i jakby spokojniejsza. Skoro musiałam być zamknięta, równie dobrze mogłam popadać w depresję we własnych ciuchach. Wtedy jednak mój entuzjazm zgasł jak przepalona żarówka – zrozumiałam, co ta walizka oznacza. Ciocia Val zostawiła ją, bez widzenia się ze mną.

Znowu mnie zostawiła.

Wzięłam torbę i poszłam do mojego pokoju, gdzie zostawiłam ją nieotwartą przy łóżku. Paul poszedł za mną, ale zatrzymał się w wejściu. Rzuciłam się na łóżko, walcząc ze łzami i myśląc jedynie o tej cholernej walizce uwierającej moje myśli we wszystkich niewłaściwych miejscach.

- Ona nie mogła zostać. – powiedział Paul.

Widocznie moje przeżycia były dla niego tak jasne jak szyba w oknie. Czy mój terapeuta nie byłby zachwycony?

- Godziny odwiedzin nie zaczynają się przed siódmą.

- Nie ważne. – Jeżeli chciałaby mnie zobaczyć, zrobiłaby to, nawet gdyby miało to trwać kilka minut. Upór mojej ciotki przeszedł do legendy.

- Hej, nie poddawaj się temu miejscu ok.? Widziałem wiele dzieciaków, które zatraciły tu dusze i nie chciałbym, by to samo spotkało ciebie. – Schylił głowę próbując złapać kontakt wzrokowy, ale ja jedynie kiwnęłam głową wciąż patrząc w podłogę. – Twoja ciotka i wujek wrócą tu wieczorem.

Tak, nie oznaczało to jednak, że zabiorą mnie do domu. Nie znaczyło to nic.

Kiedy Paul odszedł, położyłam walizkę na łóżku i otworzyłam ją, chętna by założyć, ubrać lub poczuć coś znajomego. Zaledwie po kilku godzinach w Lakeside, już byłam przerażona swoim zagubieniem. Znajdując się między zamglonymi oczami, powolnymi krokami i pustymi spojrzeniami. Potrzebowałam czegoś z prawdziwego życia – czegoś spoza tego pokoju – co pomogłoby mi się trzymać. Byłam więc kompletnie nieprzygotowana na zawartość mojej torby.

Nic w niej nie było moje. Ubrania nadal miały metki z cenami przymocowanymi do kołnierzy.

Walcząc z nowymi łożami, podniosłam pierwszy ciuch: para miękkich, różowych spodni ze ściągaczem w pasie i skomplikowanym, kwiatowym haftem na jednym z bioder. Z przodu ściągacza były dwie dziury, w których powinien znajdować się sznurek do ściągania. Zostało to prawdopodobnie wyciągnięte nożyczkami, bym nie mogła się na nim powiesić. U góry walizki była dopasowana do nich góra plus cały zbiór innych ubrań, których nie znałam. Były drogie, wygodne i w moim rozmiarze.

Co to jest, moda dla wariatów? Co było złego w moich własnych jeansach i koszulkach?

Prawda była taka, że we własny pokręcony sposób, ciocia Val prawdopodobnie próbowała rozweselić mnie nowymi ubraniami. To mogło zadziałać z Sophie, ale jak ona mogła pomyśleć, że zadziała to na mnie?

Nagle wkurzona przez to wszystko, rozebrałam się i rzuciłam pożyczony strój w kąt pokoju, otworzyłam pięciopak z bielizną i włożyłam jedną parę. Wtedy zaczęłam przekopywać torbę w poszukiwaniu ubrań, które nie wyglądałyby jak wybrane przez Marthę Stewart⁷ jako idealne do aresztu domowego. Najlepszym co znalazłam był purpurowy dres na dnie stosu. Jak tylko go założyłam zdałam sobie sprawę, że tkanina *lśniła* pod światło padające przy moim łóżku.

Super. Jestem nie tylko psychopatką ale i błyszczącą. Nie było jednak nic innego w torbie. Żadnej książki ani krzyżówek. Nawet żadnego bzdurnego magazynu o modzie od Sophie. Z wściekłych sykiem wyszłam z pokoju w poszukiwaniu czegoś do czytania i spokojnego kąta, po cichu ośmielając Paula i część obsługi by śmiało krytykowali moją wielką garderobianą katastrofą.

Po kolacji, ciocia Val i wujek Brandon przeszli przez drzwi pokoju pielęgniarek, oboje z pustymi rękoma, musieli opróżnić nawet kieszenie i oddać torebkę cioci Val

⁷ właściwie *Martha Helena Kostyra*. Martha jest symbolem i ucieleśnieniem "amerykańskiego snu"; była modelką, żoną i matką, prowadziła małą firmę cateringową, by następnie stać się maklerem i właścicielką ogromnej medialnej fortuny. W 1982 roku wydała książkę pt. "Entertaining" ("Przyjęcia") w której prezentowała zbiór przepisów kulinarnych na tę okazję. Od tego momentu Martha uznawana jest za kreatorkę stylu życia, prowadzenia domu itp. Cieszy się opinią prawdziwego guru tzw. *American lifestyle*, czyli stylu życia typowego dla bogatego społeczeństwa Ameryki. Jest jedną z najsłynniejszych i najbogatszych, wpływowych amerykańskich kobiet.

strażnikowi. Pewnie dlatego, bym nie skusiła się i nie pozabijała wszystkich jej błyszczkiem i paczką chusteczek higienicznych.

Widząc ich, stojących tam, czułam się jakbym widziała własnego ojca, który wracał na każde Boże Narodzenie. Część mnie była tak wściekła na ich oboje za to, że mnie tu zostawili, że miałam ochotę krzyczeć aż stracę głos, albo kompletnie ich zignorować. Było to jednak bliższe ranienia mnie samej niż ich. Chciałam jednak, by czuli się przestraszeni, samotni i bez takich udogodnień jak własne ciuchy.

Druga część mnie chciała jednak zostać przytulona tak bardzo, że już czułam obejmujące mnie ramiona. Chciałam poczuć zewnętrzny świat na nich obojgu. Mydło, które nie było w małych, opakowanych w papier paczuszkach. Jedzenie, które nie było podawane na podpisanych, twardych, plastikowych tackach. Szampon, który nie musiałby być pożyczany ze stacji pielęgniarek i oddawany wraz z całą moja godnością.

W końcu, mogłam jedynie stać i wpatrywać się w nich, czekając na ich pierwszy ruch.

Wujek Brandon podszedł pierwszy. Być może nie mógł przewyciężyć naszej fizycznej więzi krwi; moja więź z ciocią Val zaczynała się od ich ślubu. W każdym razie wujek Brandon uściskał mnie tak, jakby miał mnie więcej nie zobaczyć i moje serce przyspieszyło w panice na samą taką myśl. Wtedy odepchnęłam myśli na bok i ukryłam twarz w jego koszulce, czując jego płyn po goleniu i płyn po płukaniu – ulubiony wiosenny zapach cioci Val.

- Jak się trzymasz, co? – zapytał, kiedy w końcu odsunęłam się na tyle by widzieć jego twarz z wieczornym zarostem.

- Jeżeli teraz nie jestem wariatką, to z pewnością zwariuję spędzając tutaj jeszcze jeden dzień. Musicie zabrać mnie do domu. Proszę. – Ciocia i wujek wymienili smutne spojrzenia, a mój żołądek znalazł się gdzieś na wysokości kolan – No co?

- Usiądźmy. – obcasy cioci Val słycać było w całym pokoju. Aż do miejsca, w którym zatrzymała się, by spojrzeć wokoło i nagle wyglądała jakby straciła na to chęć. Kilku pacjentów siedziało wpatrując się w górę w TV, większość z mglistym spojrzeniem niezrozumienia. Dwóch pracowało nad puzzlami, a jeden mały chłopiec, które ledwie dostrzegłam, sprzeczał się ze swoimi rodzicami w odległym kącie pokoju.

- Chodźcie – obróciłam się w stronę części dla dziewczyn ciągnąc ich za sobą – Nie mam współlokatorki.

W moim pokoju, usiadłam na łóżku podwijając nogi pod siebie, a wujek Brandon usiadł obok. Ciocia Val usiadła sztywno na krawędzi jedyne krzesła.

- Co jest nie tak? – zapytałam stanowczo, kiedy spojrzeli na mnie – Poza tym co oczywiste.

Wujek Brandon przemówił pierwszy.

- Kaylee, nie zostaniesz wypuszczona. Nie możemy wziąć cię do domu zanim doktor się z tobą nie zobaczy.

- Dlaczego nie? – moje szczęki zacisnęły się tak mocno, że aż bolały. Dłonie zacisnęłam w pięści na kocu, czując jak moja wolność przecieka mi przez palce jak woda.

- Ponieważ próbowałaś rozpruć swoje gardło w samym środku Sears'a – Ciocia Val zmarszczyła brwi jak gdyby powód był oczywisty.

- To nie tak...- zatrzymałam się, przetykając łzy – Ja nie wiedziałam co robię. Próbowałam tylko zatrzymać ten wrzask.

- Wiem, kochanie. – Wychyliła się do przodu, marszcząc brwi w zaniepokojeniu – I to właśnie jest problem. Mogłabyś się poważnie zranić, nawet tego nie chcąc. Nie zdając sobie z tego sprawy.

- Nie, ja... - Ale nie mogłam się z tym sprzeczać. Gdybym umiała to zatrzymać, zrobiłabym to. Ale zamknięcie w Lakeside, wcale mi nie pomoże.

Wujek westchnął.

- Wiem, że to jest... nieprzyjemne, ale potrzebujesz pomocy.

- Nieprzyjemne? – Zabrzmiało to jak wydarte z gardła cioci Val. Chwyciłam narzutę z łóżka tak mocno, że zabolowały mnie palce. – Nie jestem wariatką. Nie jestem. – I być może, gdybym powtarzała to dalej, któreś z nas by w to uwierzyło.

- Wiem. – Wujek powiedział to tak delikatnie, że zerknęłam na niego zaskoczona. Miał zamknięte oczy i brał głębokie oddechy, jakby przygotowywał się na coś, czego tak naprawdę nie chciał zrobić. Wyglądał na gotowego do płaczu. Albo na kogoś, kto próbuje coś z siebie wyrzucić. Głosowałam za tym drugim.

Ciocia Val zeszytywniała na krześle, ostrożnie, ale intensywnie spoglądając na wujka, jak gdyby cicho skłaniała go by coś zrobił. A może by czegoś nie robił.

Kiedy wujek Brandon w końcu otworzył oczy, jego spojrzenie było spokojne. Intensywne.

- Kaylee, wiem, że nie chciałaś się zranić i że nie zwariowałaś.

Wydawał się tak tego pewny, że prawie mu uwierzyłam. Ulga przelała się przeze mnie jak chłodna bryza w upalny dzień. Szybko jednak pochłonęły mnie wątpliwości. Czy nadal byłby tak pewny gdyby wiedział co widziałam?

- Chcemy, byś przez to przeszła, ok.? – jego oczy patrzyły błagalnie. Rozpaczliwie. – Oni pomogą ci nauczyć się, jak sobie z tym radzić. Jak się wyciszyć i ... zatrzymać to. Val i ja... nie potrafimy ci pomóc.

Nie! Mrugnęłam szybko przy pojawiających się łzach, nie pozwalając im wypłynąć. Oni zamierzają zostawić mnie tu w zamknięciu!

Wujek Brandon wziął moją rękę i uścisnął ją.

- Jeżeli będziesz miała kolejny paniczny atak, chcę, byś poszła do swojego pokoju i skoncentrowała się na niewrzeszczeniu. Zrób wszystko, co musisz, by oprzeć się temu, ok.?

Ogłuszona, mogłam tylko wpatrywać się w niego przez długi moment. Zużywałam całe swoje skupienie na oddychaniu. Oni naprawdę nie zabiorą mnie do domu!

-Kaylee? – zapytał wujek, a ja zniecierpliwiona spojrzałam na niego. Jak krucha była jego wiara we mnie.

- Spróbuję.

Ciocia i wujek wiedzieli, że moje ataki paniki zawsze wydawały się być wywoływane przez kogoś. Kogoś, kogo dotychczas nigdy nie spotkałam. Ale nie znali chorej przyczyny mojej paniki. Nie wiedzieli o dziwnych halucynacjach w centrum handlowym. Bałam się, że jeżeli im o tym powiem, zgodzą się z dr Nelson i we trójkę będą próbowali wpakować mnie z powrotem do tego łóżka i przywiązać łańcuchami.

- Staraj się mocno. – Wujek Brandon przyglądał mi się z uwagą, jego zielone oczy świeciły, nawet w przyciemnionym pokoju. – Bo jeżeli znowu zaczniesz wrzeszczeć,

wpompują w ciebie taka ilość antydepresantów i psychotropów, że nawet nie będziesz pamiętała własnego imienia.

Psychotropów? Oni naprawdę myśleli, że zwariowałam?

- I Kaylee... - popatrzyłam zaskoczona w górę na ciocię Val, by dostrzec wielkie pęknięcie na jej zbroi nieugiętego optymizmu. Patrzyła blada i zestresowana, z liniami zmarszczek przecinającymi jej czoło, których zobaczyłam więcej niż kiedykolwiek. Gdyby ktoś spojrział na nią w tej chwili z pewnością pomyślałby, że to moja stuknięta współlokatorka. – Jeżeli będziesz chociaż wyglądała na to, że chcesz się zabić – jej spojrzenie powędrowało do zadrapań na mojej szyi, a moja ręka natychmiast próbowała je zakryć – natychmiast wylądujesz ponownie związana na tym łóżku. – Jej głos załamał się i wyciągnęła chusteczkę z torebki by wytrzeć łzy zanim rozmażą jej tusz – I myślę, że żadne z nas nie będzie w stanie znieść tego, by zobaczyć cię ponownie w takim stanie.

Obudziłam się o czwartej rano i już nie mogłam zasnąć. Po półtorej godzinie wpatrywania się w sufit, ignorując pielęgniarkę, która zaglądała do mnie co każde piętnaście minut, ubrałam się więc i poszłam do wspólnego pokoju w poszukiwaniu czasopisma, które zaczęłam przeglądać dzień wcześniej. Ku mojemu zaskoczeniu, Lidia siedziała na kanapie w salonie, w połowie wspólnego pokoju.

- Wcześniej wstałaś – usiadłam nieproszona obok niej. Telewizor grał w kącie, na kanale miejscowych wiadomości, których nikt nie oglądał. O ile było mi wiadomo żaden pacjent jeszcze nie wstał. Nie należeli do skowronków.

Lidia oglądała mnie, tak jak poprzedniego dnia, z niewielkim zainteresowaniem, bez niespodzianek i prawie z obojętnością. Nasze spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę, a żadna z nas nawet nie zamrugnęła. To był dziwny rodzaj prowokacji, ale chciałam ją sprowokować, by się odezwała. Ona miała coś do powiedzenia. Byłam tego pewna.

Lecz pozostała milcząca.

- Nie śpisz długo, prawda? – Normalnie nie próbowałabym podtrzymać konwersacji, bo sama nie chciałabym, by ktoś próbował naruszyć moją niepewną stabilność umysłową – ale ona gapiła się na mnie godzinami poprzedniego dnia. Ona chciała mi coś powiedzieć.

Lidia potrząsnęła głową i kosmyk cienkich czarnych włosów spadł jej na twarz. Odgarnęła go powrotem z mocno zaciśniętymi ustami.

- Dlaczego nie?

Mrugała jedynie wciąż wpatrując się w moje oczy jakby ją fascynowały. Jak gdyby widziała w nich coś, co tylko ona mogła zobaczyć.

Chciałam zapytać na co się gapi, ale moją uwagę przykuła purpurowa plama po drugiej stronie pokoju. Wysoka pielęgniarka w stroju w kolorze bakłażana, sprawdzała nas, z notatnikiem w ręku. Czy to już minęło piętnaście minut? Ale zanim mogła kontynuować sprawdzanie listy Paul pojawił się w drzwiach.

- Hej, odsyłają jednego z ER.

- Teraz? – Kobieta spojrziała na swój zegarek.

- Jej stan jest stabilny, a oni potrzebują łóżek. – Kiedy personel zniknął w końcu korytarza obróciłam się, by zobaczyć twarz Lidii, która teraz była bledsza niż normalnie.

Kilka minut później, główne wejście zabzyczało, wtedy drzwi się rozsunęły. Pielęgniarka spieszyła się do stacji pielęgniarek, a za nią podążał człowiek w zielonym uniformie pchając przed sobą chudą, wyglądającą na zmęczoną dziewczynę, na wózku inwalidzkim. Miała na sobie jeansy i purpurową podkoszulkę, a jej długie, wypłowiałe włosy zakrywały większość jej twarzy. Jej ręce leży bezwładnie na jej kolanach, obie zabandażowane od nadgarstków aż do połowy przedramion.

- Tu masz jej koszulkę – Człowiek w zielonym wręczył pielęgniarce gruby plastikowy worek z logo Darlington Memorial – Gdybym był na twoim miejscu wyrzuciłbym to. Myślę, że żaden wybielacz na świecie nie poradzi sobie z taką ilością krwi.

Po mojej prawej, Lidia wzdrygnęła się i spojrzałam na nią, by zobaczyć, że oczy ma zamknięte, a czoło zmarszczone w oczywistym bólu. Kiedy pielęgniarka obróciła nową dziewczynę do wspólnego pokoju, Lidia siadła sztywno obok mnie i zacisnęła ręce na poręczach krzesła tak mocno, że mogłam zobaczyć ścięgna na jej dłoniach.

- Wszystko w porządku? – Szepnęłam do niej, gdy wózek inwalidzki skrzypiał już w części dla dziewczyn.

Lidia potrząsnęła głową, ale jej oczy nie otworzyły się.

- Co cię boli?

Znowu potrząsnęła głową i zrozumiałam, że ona była dużo młodsza niż przypuszczałam. Czternaście lat, maksymalnie. Zbyt młoda by zostać umieszczona w Lakeside, obojętnie co było z nią nie tak.

- Chcesz bym kogoś zawołała? – Już wstawałam, kiedy chwyciła moją rękę tak nagle, że aż usiadłam powrotem zaskoczona. Była dużo silniejsza niż wyglądała. I szybsza. Lidia potrząsnęła głową, spotykając się z moim spojrzeniem jej zielonymi oczami zaszklonymi z bólu. Wstała i przeszła sztywno przez pokój jedną ręką naciskając silnie na brzuch. Minutę później cicho zamknęły się za nią drzwi.

Reszta dnia była zamazany wspomnieniem niedojedzonych posiłków, nieobecnych spojrzeń i zbyt wielu elementów puzzli, które ciężko było nawet policzyć. Po śniadaniu pielęgniarka Nancy wróciła do swoich obowiązków, stanęła w wejściu mojego pokoju i zadała mi serię bezsensownych, osobistych pytań. W międzyczasie byłam jeszcze narażona na co piętnastominutowe kontrole więc byłam już kompletnie sfrustrowana brakiem prywatności.

Siostra Nancy: „ Czy miałaś dziś prawidłową pracę jelit?”

Ja: „ Bez komentarza.”

Siostra Nancy: „ Czy nadal czujesz chęć zranienia siebie?”

Ja: „ Nigdy nie miałam zamiaru. Jestem właściwie bardzo uważna by się nie zranić”

Następnie, terapeuta o nazwisku Charity Stevens odprowadził mnie do pokoju z dużymi oknami przy stacji pielęgniarek, by spytać mnie czemu próbowałam rozerwać sobie gardło własnymi rękoma i dlaczego wrzeszczałam tak jakbym chciała obudzić zmarłych.

Byłam całkowicie przekonana, że moje wrzaski nie obudziłyby zmarłego, ale ona wydawała się niepocieszona, gdy tak jej odpowiedziałam. Nie była też przekonana, gdy ją zapewniałam, że nie próbowałam się zranić.

Stevens usiadła na cienkiej poręczy krzesła naprzeciwko mnie.

- Kaylee, wiesz dlaczego tu jesteś?

- Tak. Bo drzwi są zamknięte.

Zero uśmiechu.

- Dlaczego krzyczałaś? – Podwinęłam nogi pod siebie, zachowując swoje prawo by pozostać w milczeniu. Nie było żadnego sposobu by odpowiedzieć na to pytanie i jednocześnie nie wyjść na wariata.

- Kaylee...? – Stevens usiadła z rękami opartymi na kolanach, czekając. Cała jej uwaga była poświęcona mnie, czy tego chciałam czy nie.

- Ja... wydawało mi się, że coś zobaczyłam. Ale tam nic nie było. To tylko zwykłe cienie.

- Zobaczyłaś cienie. – To stwierdzenie brzmiało bardziej jak pytanie.

- Tak. Wiesz, takie miejsca gdzie światło nie świeci? *Podobnie jak w tym szpitalu...*

- Co było takiego w tych cieniach, że aż krzyczałaś? – Stevens wpatrywała się we mnie, a ja gapiłam się na jej wykrzywione usta.

Nie powinno ich tam być. Oni okrążyli dziecko na wózku inwalidzkim, nie dotykali nikogo innego. Poruszali się. Wybierali... Jednak zbyt dużo prawdy zapewniłoby mi tylko więcej czasu w zamknięciu.

Miałam nauczyć się jak opanowywać moje ataki paniki, a nie wypruć sobie flaki tłumacząc co je powoduje.

- Były... przerażające. – Były. Niewyraźne, ale prawdziwe.

- Hmm – Założyła nogę na nogę w swojej „ołówkowej” spódnicy i kiwnęła głową jakbym powiedziała coś co należało – Rozumiem...

Ale ona nic nie rozumiała. A ja nie mogłam sobie nic wmówić, by ratować własne życie. Albo moje zdrowie psychiczne, najwidoczniej.

Po lunchu, doktor przyszedł szperać i drażnić mnie całą listą kontrolnych pytań na temat mojej historii medycznej. Według cioci i wujka to był ten lekarz, który naprawdę mógł mi pomóc. Po sesji z terapeutą byłam sceptycznie nastawiona, ale doktor poczynił kroki by temu zaradzić.

Dr Nelson: „Czy aktualnie bierzesz jakieś lekarstwa?”

Ja: „Tylko to, czym naszprycowali mnie wczoraj”

Dr Nelson: „Czy masz w rodzinie chorego na cukrzycę, raka lub zaćmę?”

Ja: „Nie mam pojęcia. Mój tata jest poza zasięgiem, by go o to zapytać. Mogę jednak zapytać wujka jak będzie tu dziś wieczorem.

Dr Nelson: „Czy leczyłaś się na otyłość, astmę, drgawki, marskości wątroby, zapalenia wątroby, HIV, migreny, zespołu chronicznego bólu, artretyzmu lub problemy z kręgosłupem?”

Ja: „Czy pyta pan poważnie?”

Dr Nelson: „Czy masz w rodzinie kogoś z zaburzeniami umysłowymi?”

Ja: „Tak. Mojej kuzynce wydaje się, że ma dwadzieścia jeden lat. Mojej cioci za to wydaje się, że ma osiemnaście. O obu powiedziałabym, że mają zaburzenia umysłowe.”

Dr Nelson: „Czy używasz, bądź kiedykolwiek nadużywałaś kofeiny, alkoholu, nikotyny, kokainy, amfetaminy albo opium?”

Ja: „Och, tak. Wszystkiego. Co innego mogłabym robić na uczelni? W zasadzie, lepiej będzie jak zabiorę swój towar z waszego „policyjnego akademika” zanim się stąd wymelduję.

W końcu, spojrział w górę znad swoich notatek z kolan i spojrział mi w oczy.

- Zrozum, że w ten sposób sobie nie pomagasz. Najszybciej stąd wyjdiesz współpracując. Abyś pomógł tobie, musisz pomóc mi.

Westchnęłam, spoglądając na światło odbijające się w jego łysinie.

- Wiem. Jesteś chyba tu od tego, by pomóc mi opanować moje ataki? Czy cokolwiek z tego – zerknęłam na dokumenty, które desperacko chciałam przeczytać – ma coś wspólnego z tym, dlaczego tu jestem?

Doktor zmarszczył brwi, zaciskając cienkie wargi.

- Niestety, zawsze muszę przeprowadzić rozmowę wstępną. Czasami nawet rzadkie używanie narkotyków może spowodować symptomy takie jak u ciebie i potrzebuję to wiedzieć, zanim będziemy kontynuować. Czy mogłabyś więc odpowiedzieć proszę na pytania?

- Dobrze.

Jeżeli on naprawdę może mi pomóc, byłam gotowa, by poddać się leczeniu, by szybciej wyjść. Szybko i bezboleśnie.

- Piję colę, tak jak każdy inny nastolatek na tej planecie – zawahałam się, zastanawiając się jak dużo z tego on przekaże cioci i wujkowi – I raz wypiałam pół piwa. Latem. – Miałyśmy z Em tylko jedno, więc wypiliśmy po pół.

- To wszystko?

- Tak. – Nie byłam pewna, czy uszczęśliwiła go moja odpowiedź, czy potajemnie śmieje się z mojego wybrakowanego życia towarzyskiego.

- W porządku... - Dr Nelson nabazgrał coś znowu, po czym tak szybko przerzucił kartkę, że nie zdążyłam nic przeczytać – Kolejne pytania będą bardziej tyczyły się twoich problemów. Jeśli nie odpowiesz uczciwie, będzie to bezowocne dla nas obojga. Rozumiesz?

- Oczywiście – Co tylko sobie życzysz.

- Czy kiedykolwiek wierzyłaś w to, że masz specjalne moce? Takie na przykład jak kontrolowanie pogody?

Roześmiałam się w głos. Nic nie mogłam na to poradzić. Skoro to są symptomy wariactwa, to może jednak jestem zdrowa psychicznie.

- Nigdy nie wierzyłam, że mogę kontrolować pogodę. Ani latać, albo poruszać się po orbicie ziemskiej dookoła Słońca. Żadnych supermocy.

Dr Nelson jedynie kiwnął głową, ponownie zerknął do akt.

- Czy był kiedykolwiek moment, kiedy ktoś chciał się na tobie zemścić?

Przez chwilę poczułam ulgę, przesunęłam się na jedno biodro, a łokieć położyłam na oparciu krzesła.

- Eeee... Jestem przekonana, że moja nauczycielka chemii mnie nienawidzi, ale ona nienawidzi wszystkich, więc uważam, że to nic osobistego.

Więcej pisania.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś głosy, których nie słyszeli inni?

- Nie-e. – To było proste.

Dr Nelson podrapał się po łysinie obciętymi, zadbanymi paznokciami.

- Czy twoja rodzina lub przyjaciele zasugerowali kiedyś, że twoje spostrzeżenia były niezwykle?

- Masz na myśli czy robiłam lub mówiłam rzeczy, które nie miały sensu? – zapytałam, a on kiwnął głową, nie tak rozbawiany jak ja tym pytaniem – Tylko na francuskim.

- Czy kiedykolwiek widziałaś coś, czego nie widzieli inni?

Serce opadło mi gdzieś na wysokość mojego żołądka, a mój uśmiech stopił się jak lody owocowe na sierpniowym słońcu.

- Kaylee?

Skrzyżowałam ręce na piersi i próbowałam zignorować strach przechodzący przeze mnie, na wspomnienie tej mrocznej mgły.

- Ok., ale, jeżeli odpowiem na to uczciwie, będę brzmiała jak wariatka. Istotnym faktem jest jednak to, że skoro wiem, że to tak zabrzmiało, to nie jestem wariatką, prawda?

Dr Nelson podniósł obie brwi.

- *Wariat* nie jest prawidłowym określeniem choroby, ani ludzi tu przebywających.

- Ale wiadomo o co mi chodzi, tak?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie założył nogę na nogę i odchylił się w swoim krześle.

- Porozmawiajmy o twoich atakach paniki. Co wywołało go w centrum handlowym?

Zamknęłam oczy. *On ci nie pomoże, jeżeli będziesz kłamać.* Nie było jednak żadnej gwarancji, że pomoże, jeżeli będę mówiła prawdę. I mamy błędne koło...

- Zobaczyłam dziecko w wózku inwalidzkim i miałam to okropne przeczucie... że on umrze.

Dr Nelson zmarszczył brwi, a jego ołówek zawisł nad aktami.

- Czemu pomyślałaś, że on umrze?

Wzruszyłam ramionami i wpatrzyłam się smutno w swoje dłonie na kolanach.

- Nie wiem. To po prostu silne przeczucie. Wiesz, jak wtedy kiedy wiesz, że ktoś na ciebie patrzy? Albo wtedy kiedy wiesz, że ktoś za tobą stoi?

Był chicho przez kilka sekund, potem zapisał się w papierach. Wtedy spojrzał na mnie.

- Co takiego zobaczyłaś, czego nikt inny nie wiedział?

Ach, tak. Oryginalne pytanie.

- Cienie.

- Zobaczyłaś cienie? A skąd wiesz, że nie widział ich nikt inny?

- Ponieważ, gdyby ktoś jeszcze widział to co ja, nie byłabym w centrum uwagi. – Nawet z moim krzykiem rozrywającym mi mózg. – Zobaczyłam cienie wokół dziecka na wózku, nie dotykające nikogo innego. – Opowiedziałam mu całą resztę. O mgle, o tym czymś wijącym się i skręcającym dookoła.

Wtedy jednak brwi Dr Nelsona rozluźniły się a pobłażliwe spojrzenie wyrażało troskę o pacjenta, której widziałam wiele w ciągu dwóch dni w Lakeside. On uważa, że zwariowałam.

- Kaylee, opisujesz złudzenia i halucynacje. Jeżeli nie jesteś teraz na jakichś lekach – i badanie krwi to potwierdzi – jest kilka rzeczy, które może powodować objawy, których teraz doświadczasz.

- Na przykład? – zażądałam. Mój puls wystrzelił w moim gardle, a zęby zacisnęły się tak mocno, że aż zabolą mnie szczęka.

- Dobrze, to na razie przedwczesne, by cokolwiek przypuszczać, ale...

- Proszę mi powiedzieć. Skoro twierdzi pan, że jestem wariatką, proszę mi przynajmniej powiedzieć jakim rodzajem wariata jestem.

Dr Nelson westchnął i zamknął dokumenty.

- Twoje objawy mogą być następstwem depresji, albo poważnych obaw...

Było coś czego mi nie mówił. Mogłam to zobaczyć w jego oczach i mój żołądek zaczął opadać.

- Co jeszcze?

- To może być jakaś forma schizofrenii, ale naprawdę tylko strzelam. Musimy przeprowadzić więcej testów i...

Ale ja nie słyszałam już niczego. On złamał moje życie tym jednym słowem i rzucił moją przyszłość w burzę niepewności. Niemożliwości. Jeżeli byłam wariatką, jak mogę stać się kimkolwiek innym? Kiedykolwiek.

- Kiedy będę mogła pójść do domu? – Ta ciemność, niezdrowe uczucie w moim żołądku pozbawiało mnie kontroli i chęci, a jedyne czego chciałam to zwinąć się w kłębek w moim własnym łóżku i zasnąć. Przez bardzo długi czas.

- Najpierw musimy wystawić diagnozę być pewni, że zachowasz równowagę...

- Jak długo?

- Dwa tygodnie, co najmniej.

Stałam i prawie zostałam przewrócona przez brak nadziei, który się po mnie rozbił. Czy będę miała jakichkolwiek przyjaciół, jak to wyjdzie na jaw? Czy teraz będą tą szkolną wariatką? Tą, o której każdy szepcze? Czy w ogóle wrócę do szkoły?

Jeżeli naprawdę byłam wariatką, to czy ma to jakieś znaczenie?

Moje kolejne cztery dni w Lakeside można by określić słowami zanudzona na śmierć, która wydawała się ciekawą alternatywą. Gdyby nie list i Emmy, który przyniósł wujek Brendon, poddałabym się całkowicie. Ale dostałam od niej wiadomość, wiedziałam, że o mnie nie zapomniła – i że powiedzieli jeszcze komuś gdzie jestem – przyniosła mi świadomość mojego życia na zewnątrz poza Lakeside. Nadała znaczenie wszystkiemu.

Em wciąż planowała upokorzyć Toby'ego w ten weekend i trzymała kciuki bym zdążyła wrócić na czas, by to zobaczyć. A na wypadek gdybym nie zdążyła, poczyniła już przygotowania, by transmitować to upokorzenie na YouTube, specjalnie dla mnie.

Stało się to moim nowym celem. Mówić i robić cokolwiek, co zadziała, by wyjść. By wrócić z powrotem do szkoły i moje życie.

Pielęgniarka Nancy zaczynała każdy ranek tymi samymi dwoma pytaniami i wiernie zapisywała moje odpowiedzi w podręcznym notatniku. Widziałam Dr Nelsona kilka minut każdego dnia, ale wydawała się on bardziej zainteresowany skutkami ubocznymi lekarstwa, które zalecił, niż czy ono prawidłowo działało. Moim zdaniem, fakt, że nie miałam już więcej ataków krzyku był całkowitym zbiegiem okoliczności, a nie skutkiem tego, co mi podawali.

A co do pigułek...

Zdecydowałam nie pytać co to. Nie chciałam wiedzieć. Nie mogłam jednak zignorować skutków ubocznych. Cały czas byłam otumaniona, a pierwsze dwa dni przespałam.

Następnym razem gdy przyszli wujek z cicią przynieśli mi dwie pary moich własnych jeansów i „Nowy, wspaniały świat”, więc czytałam między drzemkami. Tego wieczoru Paul dał mi długopis i notatnik, więc zaczęłam pisać swój pierwszy papierowy dziennik, desperacko tęskniąc za laptopem, który tata wysłał mi na ostatnie urodziny.

Piątej nocy w moim La La Land⁸, ciocia, wujek i ja usiedliśmy na kanapie we wspólnym pokoju. Ciocia Val szczebiotała nieskończenie o tanecznym zespole do którego należała Sophie i o wielu debatach z ich sponsorem na temat nowych kostiumów: całościowe kostiumy⁹ czy oddzielnie bluzeczki z gorącymi spodenkami.

Osobiście miałam to gdzieś, nawet gdyby Sophie miała tańczyć nago. Faktycznie, to życiowe doświadczenie mogło otworzyć przed nią drzwi do kariery pewnego dnia. Słuchałam jednak, ponieważ historia opowiadana przez cicię Val, zdarzyła się w prawdziwym świecie, a ja pragnęłam prawdziwego świata bardziej niż cegokolwiek w moim życiu.

Wtedy, w środku szczegółowego opisu jak miałyby wyglądać całościowe kostiumy, kilka jednoczesnych krzyków i trzasków przykuły moja uwagę do pokoju pielęgniarek. Nie mogłam rozróżnić faktycznych słów z krótkofalówek, ale było jasne, że coś miało się wydarzyć.

Chwile później krzyki roztrzaskały ciszę szpitala gdzieś poza pokojem pielęgniarek i główne wejście zabrzączało. Wtedy drzwi się rozsunęły i dwóch facetów w uniformach weszło niosąc faceta w moim wieku, trzymając go mocno za ramiona. On nie chciał iść więc jego gołe stopy były ciągnięte po podłodze.

Nowy chłopak był szczupły, wychudzony i krzyczał coś, lecz nie mogłam zrozumieć żadnego ze słów, które powiedział. Był też zupełnie nagi i próbował zrzucić koc, którym ktoś przykrył jego ramiona.

Ciocia Val podskoczyła na swoich obcasach, najwyraźniej wstrząśnięta. Jej usta były otwarte, a ręce zwisały bezwładnie po obu stronach. Nachmurzona mina wujka Brendona sparaliżowałaby każdego kto by ją zobaczył. Z całej placówki pacjenci wychodzili ze swoich pokoi by zobaczyć zamieszanie.

Pozostałam na kanapie, sparaliżowana przerażeniem nie tego co zobaczyłam, ale na wspomnienie, które do mnie dotarło. Czy ja też tak wyglądałam kiedy sanitariusze

⁸ Piosenka Demi Lokato, napisana przez nią i Jonas Brothers w której chodzi o to, żeby nawet podczas chwil sławy pozostawać sobą.

⁹ Kostiumy noszone przez zawodowe akrobatki, przeważnie do kostek u nóg i z długim rękawem. Oni nazywają to Unitard, u nas nie znam określenia.

przypinali mnie do łóżka? Czy moje oczy też były takie nieobecne? Czy kończyny były poza moją kontrolą?

Ja byłam oczywiście ubrana, ale nie byłabym gdyby taki atak zdarzył mi się pod prysznicem. Czy oni ciągnęli by mnie nagą i mokrą by przywiązać mnie do kolejnego łóżka?

Kiedy tak patrzyłam, oczarowana i przerażona jak pielęgniarki na wpół-ciągną nowego przez oddział, wujek Brendon przeciągnął ciocią Val do jednego z kątów teraz prawie pustego wspólnego pokoju. Zerknął na mnie, a ja udawałam, że tego nie zauważyłam, wiedząc, że inaczej nie powie tego co zamierzał.

- Źle do tego podchodzimy, Val. Jej nie powinno tutaj być.- wyszeptał wściekle, na co moja dusza się rozweseliła. Schizofreniczka czy nie – nie postawiono mi jeszcze diagnozy – nie pasowałam do Lakeside. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Na krawędzi mojego pola widzenia ciocia skrzyżowała ręce na swojej szczupłej klatce piersiowej.

- Doktor Nelson nie wypuści jej do...

- Mogę pomóc mu zmienić zdanie.

Jeżeli był ktoś, kto mógł to zrobić, był nim wujek Brendon. On potrafił sprzedać lodówkę Eskimosom.

Jeden z sanitariuszy puścił ramię chłopaka, by poprawić jego koc, wtedy on popchnął go i próbował się uwolnić od drugiego, wykrzykując przypadkowy strumień przekleństw.

- On nie jest dziś dostępny pod telefonem. – Ciocia Val szepnęła, nerwowo spoglądając na szarpaninę. – Nie dasz rady skontaktować się z nim aż do jutra.

Nachmurzona mina mojego wujka pogłębiła się.

- To będzie pierwsza rzecz jaką zrobię z samego rana. To będzie jej ostatnia noc tutaj, nawet gdybym miał ją stąd porwać.

Gdybym nie obawiała się przyciągnąć uwagi moim podsłuchiwaniami, pewnie bym z radości podskoczyła.

- Przyjmując, że nie miała innego... zdarzenia pomiędzy wtedy a teraz. – powiedziała ciocia Val, skutecznie rujnując moją radość.

I właśnie wtedy zauważyłam, że Lidia zwinęła się na krześle z tyłu pokoju, twarz wykrzywiła jej się w bólu, obserwując jawnie naszą trójkę, a nie bójkę z tyłu. Nie wysilała się nawet by ukryć swoje podsłuchiwanie i nawet posłała mi mały smutny uśmiezek, kiedy zobaczyła, że ją zauważyłam.

Kiedy personel miał nowego gościa pod kontrolą i podał mu środki uspokajające w zamkniętym pokoju, ciocia i wujek szybko powiedzieli do wiedzenia. I ten jeden jedyny raz, kiedy drzwi się za nimi zamknęły, mój zwykle gorzki smak samotności i rozpacz został przyprawiony cienką, słodką nicią nadziei.

Moja wolność było osiem godzin i jeden telefon ode mnie. Będę to świętować rozpalając ognisko z nowych snobistycznych dresów.

Minął tydzień odkąd przybyłam do Lakeside. Moją pierwszą myślą po przebudzeniu było to, iż oficjalnie przegapiłam potańcówkę. Ale moje zmartwienie znikło w oka mgnieniu, z powodu mojej drugiej myśli - tej nocy będę spać we własnym łóżku. Sama świadomość, że niebawem się stąd wydostanę, sprawiała iż widziałam świat w jaśniejszych barwach.

Może, mimo wszystko nie byłam szalona. Może po prostu miałam skłonności do napadów niepokoju i pigułki, które przepisał mi doktor pozwoliłyby mi je mieć pod kontrolą. Może mogłabym wieść normalne życie, gdybym zapomniała o Lakeside.

Obudziłam się przed świtem i ułożyłam do połowy 500 elementowe puzzle, zanim pielęgniarka Nancy weszła do pokoju, żeby zapytać o stan zdrowia mojego układu gastrycznego i o moje myśli samobójcze. Nie pozostałam dłużna i zasugerowałam jej, gdzie może sobie wsadzić kartę pacjenta.

Reszta pracowników uznała mój dobry humor za podejrzany i klnę się na wszystko, zaglądali do mnie częściej niż zwykle. Oczywiście było to bezcelowe, bo jedyną rzeczą jaką robiłam było układanie puzzli i wyglądanie przez okno w desperackim poszukiwaniu świeżego powietrza. I pączka. Tak bardzo chciałam pączka, tylko dlatego że dobrze wiedziałam, że go nie dostanę.

Po śniadaniu spakowałam wszystkie swoje rzeczy. Każdy jeden, dumny połyskujący strój do joggingu i każdą parę puchatych skarpetek. Kopię *Nowego wspaniałego świata* i mój odręcznie napisany, liczący tysiąc pięćset dwadzieścia cztery słowa esej. Słowa przeliczone dla pewności. Trzykrotnie.

Byłam gotowa do drogi.

Pielęgniarka Nancy skwitowała moją spakowaną torbę i starannie zasłane łóżko uniesieniem jednej brwi, nic jednak nie powiedziała odhaczając mnie na karcie.

Do pory obiadowej nie mogłam usiedzieć w jednym miejscu. Stukałam widelcem o stół, wyglądałam przez okno wpatrując się w widoczny kawałek asfaltu, na którym miał zaparkować samochód mojego wujka. Albo mojej ciotki. Za każdym razem kiedy zerkałam w górę, natrafiałam na obserwującą mnie Lidie. Na jej twarzy malowała się troska i teraz już, permanentny grymas bólu. Cokolwiek jej dolegało, wzbierało na siłę: współczułam jej. I nie mogłam przestać się zastanawiać, dlaczego nie dali jej silniejszych środków przeciwbólowych. Czy w ogóle jej je dawali.

Głowiłam się nad układanką od prawie godziny po porze obiadowej, kiedy to głośne uderzenie odbiło się echem w męskim holu. Zaskoczony personel pobiegł w tamtym kierunku. Kiedy tak biegli, znajome uczucie ponurej paniki chwyciło, niczym pięść, moją klatkę piersiową, ściskając tak mocno, że ledwo mogłam oddychać. Pochłonęła mnie rozpacz, gorzka i otrzeźwiająca. *Nie! Tylko nie to! Dzisiaj wychodzę....*

Nie wyjdę jeśli znowu zacznę krzyczeć. Nie wyjdę jeśli przypną mnie pasami do łóżka. Nie wyjdę jeśli wpakują we mnie tyle prochów, że będę spać przez kolejne piętnaście godzin.

Moje serce pompowało krew z taką szybkością, że zaczęło mi się kręcić w głowie. Nie ruszyłam się z krzesła, podczas gdy inni pacjenci niecierpliwie przesuwali się w kierunku szerokiego przejścia. Nie zaczęłam jeszcze krzyczeć. Może gdybym siedziała w kompletnym bezruchu w ogóle bym nie zaczęła. Może tym razem zapanowałabym nad tym. Może leki by poskutkowały.

Wzdłuż holu, coś ciężkiego załomotało o ścianę. Panika rozkwitła we mnie, pozostawiając moje serce spuchnięte i ciężkie od żalu, którego nie potrafiłam pojąć.

Lydia wstała z krzesła, odwrócona plecami do męskiego holu. Zamknęła oczy i się wzdrygnęła. Nie mogąc się ruszyć, obserwowałam jak leci do przodu, zgięta wpół. Uderzyła kolanami o winylowe panele. Starła się podnieść z podłogi, podpierając się

na jednej ręce, drugą zaś przyciskając do obolałego brzucha - cicho zapłakała. Ale nikt nie usłyszał jak płacze ponad roztrzaskanym drewnem. Nikt, oprócz mnie.

Chciałam jej pomóc, ale bałam się poruszyć. Wrzask we mnie wzbierał, szukając drogi ujścia. Zacisnęło mi się gardło. Chwyciłam za poręcze mojego krzesła, aż mi pobieliała skóra na knykciach. Pigułki nie działały. Czy to znaczyło, że moje ataki paniki nie miały nic wspólnego ze schizofrenią, czy też z lękiem? Z szeroko otwartymi oczami, patrzyłam jak Lydia podciąga się, na stoliku pod lampkę starając się zachować równowagę. Wciąż ściskając brzuch, wyciągnęła w moim kierunku wolną rękę. Miała łzy w oczach.

-No chodź.- wyszeptwała, po czym głośno przełknęła ślinę.- Jeśli chcesz stąd wyjść, chodź ze mną natychmiast.

Gdybym nie była pochłonięta staraniami powstrzymania krzyku, udusiłabym się z zaskoczenia. To ona potrafi mówić?

Wyciągnęłam powietrze głęboko przez nos, wtedy zsunęłam się z krzesła i wyciągnęłam do niej rękę. Lydia pociągnęła mnie z zadziwiającą siłą i poszłam za nią przez pokój, przez lukę w grupie pacjentów i w dół do sali dziewczyn, kiedy jeszcze wszyscy patrzyli w drugą stronę. Zatrzymała się raz, w połowie drogi na dół, zginając się z bólu kiedy w powietrzu rozległo się przerażające skrzeczenie z innej części oddziału.

- To Tayler – złapała oddech kiedy pociągnęłam ją i wolną pięścią zatkałam moje zamknięte wargi, fizycznie powstrzymując mój wrzaski. – Nowy facet. On tak bardzo mnie rani, że ledwo mogę wytrzymać... - nie miałam pomysłu o czym ta dziewczyna mówi i nie mogłabym spytać. Mogłam jedynie ciągnąć ją za sobą, brnąc do przodu tak samo dla jej korzyści jak i swojej. Cokolwiek było z nią nie tak, jakoś łączyło się to z Tylerem, więc z pewnością większa odległość od zamieszania była dla niej tak samo dobra jak dla mnie.

Na końcu korytarza wpadliśmy do mojego pokoju kiedy krzyk był coraz głośniejszy. Lydia kopniakiem zamknęła drzwi. Do oczy napłynęły mi łzy. W głębi mojego gardła zagościł przenikliwy wrzask, a jedyne co mogłam zrobić to próbować go zatrzymać. Wszystko co mogłam zrobić to trzymać moje usta zamknięte i mieć nadzieję, że nie nadejdzie najgorsze.

Lydia opadła na moje łóżko i wyciągnęła do mnie ręce, jej twarz była blada i wilgotna mimo chłodu w klimatyzowanym pokoju.

- Pośpiesz się – powiedziała, ale kiedy podeszłam, ten straszny cień wśliznął się do pokoju z nikąd. Zewsząd. Pokazał się nagle, wypłukując kolor ze wszystkiego, rosnąc z każdą sekundą, aż pisk wymknął się z mojego gardła.

Położyłam się przy niej na łóżku i koszulką otarłam łzy z twarzy. To było prawdziwe! Mgła była *prawdziwa*! Ale uświadomienie sobie tego spiorunowało mnie poczuciem prawdziwego horroru. Jeżeli to nie były halucynacje, to co tu się do diabła działo?

- Daj mi ręce – Lydia odetchnęła i zgięła się z bólu. Kiedy spojrzała na mnie ponownie, podałam jej jedną rękę, ale drugą wciąż zakrywałam usta. – Normalnie próbuję to zablokować – szepnęła, odgarniając rozrzucone włosy z twarzy – Ale teraz nie mam na to siły. To miejsce jest tak pełne bólu...

Blokować co? Co się do diabła dzieje? Niepewność ścisnęła mój żołądek, prawie tak silna by konkurować z ciemnym strachem, przyczyną mojego nieopanowanego krzyku. O czym ona mówi? Nic dziwnego, że zaprzestała rozmów.

Lydia zamknęła oczy, przez przepływającą przez nią falę bólu, potem je otworzyła, a jej głos był tak cichy, że musiałam wysilić się by ją usłyszeć.

- Mogę pozwolić popłynąć bólowi naturalnie – to będzie łatwiejsze dla nas obu. Mogę też zabrać go od ciebie. To zadziała szybciej, ale czasem biorę zbyt dużo. Więcej niż tylko ból. – Cofnęła się i jej spojrzenie przesunęło się po czymś nad moim ramieniem, tak jakby mogła widzieć przez ściany oddzielające nas od Taylera. – I nie będę mogła tego oddać. Ale w każdym przypadku, jest łatwiej, jeżeli będę mogła cię dotknąć.

Spojrzała wyczekująco, ale ja mogłam jedynie wzruszyć ramionami i potrząsnąć głową, by zademonstrować zakłopotanie, moje wargi wciąż były mocno zaciśnięte, by nie wyrwał się wrzask z mojego wnętrza.

- Zamknij oczy i pozwól bólowi popłynąć – powiedziała, a ja byłam posłuszna, bo nie miałam pojęcia co innego mogłabym zrobić.

Nagle moja ręka czuła zarówno chłód i zimno, jakbym miała gorączkę i dreszcze jednocześnie. Palce Lidii trzęsły się w mojej dłoni i otworzyłam oczy, by zobaczyć że cała drży. Spróbowałam odciągnąć moją rękę, ale ona klepnęła mnie drugą ręką, trzymając mnie jednocześnie mocno, nawet kiedy jej zęby zaczęły dzwonić.

- T-trzymaj swoje o-oczy za-zamknięte – jąkała się – Ni-nie ważne c-co się s-stanie.

Teraz już kompletnie przerażona, zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na trzymaniu mojej buzi zamkniętej. Na nie odczuwaniu olbrzymich fal agonii i rozpaczliwych przepływających przeze mnie.

I powoli, bardzo powoli, panika zaczęła opadać. Było to stopniowe na początku, aż strumień próbującego wydostać się z mojego gardła krzyku zmalał do wielkości ludzkiego włosa. Mimo, że panika wciąż była we mnie, była teraz słabsza i dzięki Bogu do opanowania, dzięki temu czemuś cokolwiek ona robiła.

Ośmieliłam się zerknąć na Lidię, zobaczyłam iż ma zamknięte oczy, a jej twarz wykrzywił grymas bólu, jej czoło lśniło od potu. Wolną ręką ścisnęła w garści swoją workowatą koszulkę, przyciskając ją na wysokości żołądka jakby była ranna. Nie było jednak żadnej krwi, ani żadnego innego znaku zranienia. Przyjrzałam się, by się upewnić.

Ona odciągnęła jakoś panikę ode mnie co sprawiło, że wyglądała na chorą. I tak bardzo jak chciałam wydostać się z Lakeside, *nie mogłam* tego zrobić jej kosztem.

Nadal nie mogłam nic powiedzieć, więc spróbowałam odciągnąć swoją rękę, ale oczy Lydie natychmiast się otworzyły – Nie! – złapała mocniej moją dłoń, a łzy stanęły w jej oczach – Nie mogę tego powstrzymać, a walka uczyni to jeszcze bardziej nieznosnym. – Ból nie zabiłby mnie, ale w jej oczach wyczytałam, że ją mógłby. Szarpnęłam znowu ręką, a ona głośno przełknęła ślinę mocno potrząsnęła głową.

- To mnie rani, Kaylee. Jeśli puścisz, zaboli bardziej.

Kłamała. Widziałam to w jej oczach. Słyszała moją ciocię lub wujka i wiedziała, że jeśli będę miała kolejny atak, nie będzie w stanie mnie stąd wyciągnąć. Lydia kłamała, a ja nie mogłam się oderwać, chociaż raniła się coraz bardziej – może nawet zabijała – z każdym kawałkiem paniki zabranym ode mnie.

Pozwalałam jej na to, ponieważ wydawała się zdeterminowana by to zrobić. Najwyraźniej miała swoje powody, których ja nie rozumiałam. Ale poczucie winy we mnie wzrastało i ponownie spróbowałam wyrwać swoją rękę, ale ścisnęła ją tak mocno, że aż zabolęło.

- On się zbliża... - szeptała, a ja spoglądałam w jej oczy próbując ją zrozumieć. Wciąż nie miałam pojęcia o czym ona mówi. – To się zmieni. Ból Taylera się skończy i zaczniesz się twój.

Zaczniesz się? To na razie była to jedynie zabawa i...

Zanim skończyłam tę myśl, ręce Lydii opadły bezwładnie i odprężyła się tak nagle i głęboko, że prawie wyglądała jakby zemdlęła. Po chwili uśmiechnęła się, wolna od bólu i zaczęłam zastanawiać się czy to już koniec.

- Odszedł – Lydia powiedziała miękko.

W tym momencie panika *naprawdę* we mnie uderzyła.

To co czułam wcześniej, było jedynie początkiem. Teraz zaczynało się główne przedstawienie. Prawdziwy pokaz. Jak w centrum handlowym.

Udręka eksplodowała wewnątrz mnie, wstrząsając całkowicie moim ciałem. Bolały mnie płuca. Gardło płonęło. Łzy lały się z moich oczu. Krzyk otoczył moją głowę tak szybko, że nawet nie zdążyłam pomyśleć.

Nie mogłam tego powstrzymać. Wrzask wydostawał się znowu, silniejszy niż kiedykolwiek i moje usta – bolące już od ciągłego ich zaciskania – nie stanowiły żadnej przeszkody.

- Daj mi to... - powiedziała Lydia i kiedy otworzyłam oczy zobaczyłam ją wpatrującą się we mnie. Wyglądała troszkę lepiej. Silniej. Już nie tak blado. Ale jeżeli przejęła by choć trochę mojego bólu, znów by się jej pogorszyło. Szybko i skutecznie.

Niestety nie byłam w stanie skupić się w tej chwili. Nie wiedziałam, czy dać jej to czego żąda, ani tym bardziej jak to zrobić. Mogłam jedynie walczyć z wrzaskiem rzucającym się we mnie jak elektryczny piorun i mieć nadzieję, że go powstrzymam.

Ale się nie udało. Wrzask przybierał na sile. Gęstniał, aż pomyślałam że za chwilę się uduszę. Moje zęby wibrowały pod nieugiętym wpływem tego i szczykałam nimi jakby było mi zimno. Nie mogłam tego powstrzymać.

Nie mogłam pozwolić sobie, by dać temu upust.

- Jest tego za dużo. To jest zbyt wolne – Lydia jęknęła. Była spięta, jakby nawet najmniejszy ruch ją ranił. Jej ręce znowu zaczęły się trząść, a twarz zamieniła się w nieprzerwany grymas – Przepraszam. Muszę to wziąć.

Co? Co to znaczy? Jej ból był oczywisty, a ona chciała więcej? Odciągnęłam moją rękę, ale ona chwyciła ją z powrotem jak tylko moje usta się otworzyły. Nie mogłam dłużej walczyć.

Wrzask eksplodował z mojego gardła sprawiając mi ogromny ból, jakbym wymiotowała odłamkami szkła. Nie wydobył się jednak żaden dźwięk.

Chwilę po tym jak wrzask miał się rozpocząć – ale zanim dźwięk zdążył się wydostać – został wessany z powrotem wewnątrz mnie, przez brutalne pociągnięcie z mojego gardła. Moje usta zamknęły się. Szkło ponownie postrzępiło moje gardło wracając. To owinięło się wokół mojego wnętrza, moje niesłyszalne krzyki, wciąż wydostające się na zewnątrz i wciągane do środka...

Lydia.

Zaczęła trząść się konwulsyjnie, ale nie mogłam odciągnąć jej palców od mojej ręki. Jej gałki oczne wzniosły się tak wysoko, że było widać jedynie dolny łuk zielonych tęczówek, wciąż mnie trzymając, wyciągała ze mnie resztkę krzyku. Wraz z bólem.

Zniknęło cierpienie z moich płuc, mojego poranionego gardła oraz bolącej głowy. Odszedł smutek, rozpacz otaczająca mnie, przez którą nie mogłam myśleć o niczym innym. Zniknęła szara mgła; zniknęło wszystko wokół nas kiedy spróbowałam uwolnić moją rękę.

Wtedy, nagle, wszystko się skończyło. Jej palce opadły z mojej ręki. Zamknęła oczy. Opadła na plecy – wciąż się trzęsąc – zanim zdążyłam ją złapać. Uderzyła o oparcie łóżka i kiedy szukałam poduszki, by podłożyć jej pod głowę, zrozumiałam, że krew cieknie z jej nosa. Kapłała prosto na koc.

- Pomocy! – Krzyknęłam, wydając pierwszy dźwięk, odkąd to wszystko się zaczęło, kilka długich minut wcześniej. – Niech ktoś mi pomoże! – Mój głos brzmiał zabawnie. Niewyraźnie. Dlaczego tak trudno było mówić? Dlaczego czułam się tak dziwnie? Jakby wszystko ruszało się w zwolnionym tempie? Jakby w mojej głowie była wełna zamiast mózgu.

Usłyszałam kroki zmierzające w moją stronę, a chwilę później drzwi otworzyły się z impetem.

- Co się stało? – dopytywała się pielęgniarka Nancy, a dwie wyższe siostry spoglądały zza jej ramienia.

- Ona... - zamrugłam, próbując skupić się w gęstej chmurze zakłopotania. – Ona wzięła zbyt dużo...

Zbyt dużo czego? Odpowiedź była prawdziwa, ale taka niejasna... mogłam to zobaczyć, ale nie potrafiłam tego określić.

- Co? – Pielęgniarka Nancy klękła przy dziewczynie na moim łóżku – Lisie? Leash? – I podniosła jej powieki – Zabierzcie ją stąd! – Krzyknęła do jednej z sióstr, gestykulując jedną ręką w moją stronę. – I przynieście nosze. Ona ma zapaść.

Kobieta w jasnoniebieskim kitlu wyprowadziła mnie z sali podtrzymując za jedną rękę.

- Idź usiądź we wspólnym pokoju – powiedziała i popchnęła mnie w tamtą stronę.

Przemierzałam powoli korytarz jedną ręką przytrzymując się zimnej, szorstkiej ściany dla równowagi. Próbowałam utrzymać się prosto, kiedy fala niepewności próbowała mnie zmiażdżyć. Dotarłam do pierwszego pustego krzesła jakie znalazłam i zakryłam twarz dłońmi. Nie mogłam myśleć. Niewiele pamiętałam...

Ludzie rozmawiali dookoła mnie, szeptali zdania, których sensu nie mogłam pojąć. Imiona, których nie rozpoznawałam. Chwyciłam się więc pierwszej rzeczy, którą poznałam: puzzle rozłożone na stole pod oknem. To były moje puzzle. Układałam je, zanim stało się coś złego. Zanim...

Zimne ręce. Mroczna mgła. Krzyk. Krew.

Dopasowałam trzy części puzzli kiedy dwaj sanitariusze przepychali nosze ze stacji pielęgniarek do głównych drzwi.

- Kolejny? – strażnik zapytał, przytrzymując otwarte drzwi.

- Ten wciąż oddycha. – odpowiedział sanitariusz w czerwonym kombinezonie.

Ten? Ale im bardziej próbowałam sobie przypomnieć, tym bardziej obrazy się zamazywały.

Zdażyłam dopasować kolejne dwa kawałki, kiedy ktoś zawołał mnie po imieniu. Spojrzałam znad mojej układanki, i zobaczyłam siostrę, która miała na imię Judy – pamiętałam to – która stała obok mojego wujka. Stał on koło mojej walizki.

- Kaylee? – wujek Brandon zmarszczył brwi w niemym zapytaniu – Gotowa by wrócić do domu?

Tak. To było oczywiste. Ale moja ulga przyszła z gorzkim poczuciem winy i smutku. Zdarzyło się coś złego. Coś z tą dziewczyną w moim łóżku. Ale nie mogłam sobie niczego przypomnieć.

Poszłam za wujkiem Brendonem przez główne drzwi – jedyne, przez które można było zostać wypuszczonym – a wtedy zatrzymałam się. Dwoje ludzi pochylało się nad noszami stojącymi przed windą, na których bez ruchu leżała dziewczyna z ciemnymi włosami jeden z mężczyzn wciąż ścisnął torbę od maski, przymocowanej do jej twarzy. Plama krwi szpeciła jej policzek. Miała zamknięte oczy, ale gdzieś w zakamarkach pamięci wiedziałam, że były zielone.

- Znasz ją? – zapytał wujek Brandon – Co jej się stało?

Zadrżałam, kiedy gotowa odpowiedź wynurzyła się z mojej zamglonej pamięci. Może pewnego dnia zrozumieć, co ona oznacza, teraz wiedziałam jedynie, że jest prawdziwa.

- Ona wzięła zbyt dużo.